Uwaga!

Następny numer naszego pisma (z datą 26 czerwca) będzie ostatnim przed przerwą wakacyjną.

Od września br. POPROSTU jako TYGODNIK MŁODEJ INTELIGENCJI oprócz omawiania zagadnień studenckich w szerszym niż dotychczas stopniu będzie poruszać problemy pracy absolwentów wyższych uczelni oraz interesujące całą młodą inteligencję zagadnienia ideologiczne, moralno-obyczajowe, kulturalne, naukowe itd.

Przypominamy: jedyną gwarancją otrzymywania każdego numeru POPROSTU jest prenumerata pocztowa. Już teraz (a najdalej 10 sierpnia) można zaprenumerować POPROSTU na m-ce wrzesień — grudzień br. Prenumeratorzy, którzy wpłacili prenumeratę za m-ce wakacyjne, będą automatycznie otrzymywać pismo we wrześniu i październiku br.

Nr 25 (334) 19. VI. 1955 r. Cena 35 gr

poprostu

STUDENCKIE CZASOPISMO SPOŁECZNO-LITERACKIE ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZWIĄZKU MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Dwa lata temu manifestowali swą jedność w Bukareszcie. Za kilka tygodni przybędą do Warszawy, by powitać starych znajomych i zadzierzgnąć nowe węzły przyjaźni

Na temat »twarzy«

Co pewien czas robię porządek w swym biurku. Z mnóstwa papierzysk wydostałem opatrzony redakcyjną metryczką wpływu list. Data — któregoś tam października 1954 r. Na metryczce znajome nazwisko starego korespondenta, a pod spodem robocze sformułowanie tematu — „Osobiste wspomnienia wakacyjne".

Czytam na chybił trafił fragmenty listu:

„W rodzinnej wiosce czułem się podle. Do najbliższego miasteczka kawał drogi, bo kilkanaście kilometrów. W N. nie ma elektryczności, nie ma świetlicy, ani nawet koła ZMP. Dopiero po dwóch tygodniach wiejskiej nudy znalazłem się z powrotem w swoim żywiole. Wyjechałem na brygadę żniwną, a potem na wczasy studenckie".

Nie pamiętam już czy i w jaki sposób odpisałem na list starego przyjaciela naszego pisma. Przyznaję, że nie zawsze odpisuję na listy. Ale nie o to chodzi.

Korespondencję, której fragmenty tu cytuję, napisał chłopak mający w swojej uczelni opinię przykładnego studenta i aktywnego zetempowca. Dochodzę do wniosku, iż nie zdawał on sobie sprawy, (a może i nadal nie zdaje) z problemu, który na swym przykładzie obnażył. Wydaje mi się, że mocno by się oburzył, gdyby postawiono mu zarzut, iż posiada dwie twarze, dwie postawy.

Słyszałem o uczestnikach brygad żniwnych, którzy po pracy wydawali gazetki ścienne dla swoich PGR-ów, co więcej — zakładali nawet w okolicznych wsiach koła ZMP czy zespoły artystyczne. Jestem niemal pewien, że był wśród nich, może nawet wodził rej autor cytowanego listu. We własnej wsi natomiast nudził się jak mops, nie widział tu roli dla siebie. Znikł gdzieś jego aktywny stosunek do życia.

*

Mam kolegów z czasów jeszcze dziecinnych, z którymi się niekiedy spotykam. Tworzyli oni w początkach ludowej władzy zgraję, przyjacielski zastęp, o ile nie opluwający wysiłki ludzi, którzy w niesłychanym trudzie wznosili nowy porządek, to przynajmniej odnoszący się do nich z obojętną pogardą.

Dziś są dorosłymi w znaczeniu faktycznym i przenośnym. Jeden z nich jest już dyplomowanym lekarzem i ma wkrótce objąć ośrodek zdrowia na prowincji, drugi jest inżynierem-ogrodnikiem, a trzeci asystentem w jednej z wyższych uczelni. Okrzepli już politycznie i ideowo, ale gdy uda się nam razem spotkać przy lampce wina, by pogadać jak to potrafią jedynie starzy przyjaciele — jest mi wstyd. Bo mimo iż obecnie każdy z nich jest współtowarzyszem tych, którzy walczyli osiem lub dziesięć lat temu — w pogwarkach starych przyjaciół została ta sama nuta co w czasach szczeniackich. „Oni" — i my. Żenujące są te spotkania.

*

I najdrażliwsza sprawa — religia. Wielu z nas podczas studiów przestało wierzyć. To jest logiczny element rozwoju każdego człowieka, który poznaje i myśli. Ale tej konieczności nie potrafią zrozumieć nasze matki, dla których wiara to rzecz uczuciowo przeogromna. O ile gdzie indziej można, to tutaj niezmiernie ciężko argumentować rodzicom rozsądkiem.

I kiedy matka żąda np.: idź do kościoła — wielu z nas ulega uczuciu (dla domowego spokoju) a wielu robi piekło i wynosi się na żniwa lub wczasy. Obie drogi nieuczciwe.

Nie daję recept, gdyż sam nie posiadam tutaj czystego sumienia. Mogę podać tylko przykład swego przyjaciela — Bronka.

Bronek to człowiek o żarliwym, partyjnym sercu. Ojciec jego dawno nie żyje. Posiada matkę staruszkę, którą kocha nad wszystko. Bronek się nigdy nie unosi wobec swej matki, na każdym kroku okazuje jej swoją miłość i szacunek. Matka widzi w swym synu piękno jego idei przez jego życie. I matka zaufała jego czystemu sumieniu. Jedynie w szczerym stosowaniu naszych racji potrafimy — o ile nie przekonać do nich — wzbudzić szacunek i podziw. Problem to ważki a trudny. Problem pryncypialności przekonań.

*

Już za kilkanaście dni rozjedziemy się do domów, na praktyki i na wczasy. Nie będzie na nas patrzył organizator partyjny czy zetempowski, nie będzie nas słyszał profesor.

Ale pryncypialność i konsekwencja w postępowaniu obowiązuje.

TADEUSZ JASZCZYK

Amerykańskie refleksje

EDDA WERFEL

Zacznę od dwóch zabawnych epizodów.

Jesienią ubiegłego roku wybrała się ze mną w Nowym Jorku na spacer młoda dziewczyna, pracowniczka polskiej delegacji do ONZ. Była ona w Stanach po raz pierwszy. Po kilku godzinach przechadzki spytała ze zdumieniem: „Gdzie tu właściwie są ci bikiniarze?"

Po powrocie do Warszawy opowiadałam o moich wrażeniach amerykańskich m. in. różnym grupom młodzieży. Na jednym z takich zebrań w środowisku studenckim padło pytanie „jaka właściwie jest młodzież amerykańska". Gdy dałam odpowiedź (wydawałoby się, zupełnie naturalną), że młodzież amerykańska jest sympatyczna, tak jak każda młodzież — zauważyłam u części zebranych aprobatę, ale u innych zdumienie, a nawet pewne... zgorszenie. Tak jakby stwierdzenie, że młodzież amerykańska jest sympatyczna osłabiało naszą słuszną i konieczną walkę z imperializmem amerykańskim.

Wszystko to co wiemy o przestępczości wśród młodzieży amerykańskiej, o zdziczeniu kulturalnym, o bestialstwach popełnianych przez wojska amerykańskie w Korei itd. itp. jest oczywiście prawdą. Ale nie jest c a ł ą prawdą. Stany Zjednoczone to ogromny kraj o 165 milionach ludności, o bogatej i skomplikowanej problematyce, o bardzo dużych różnicach między poszczególnymi stanami i środowiskami. Widzieć w tym kraju tylko comicsy i przestępczość byłoby uproszczeniem.

Podczas mego dwukrotnego pobytu w USA nie zajmowałam się specjalnie sprawami młodzieży, interesowały mnie one tak samo, jak inne dziedziny życia amerykańskiego. Poza tym w ubiegłym roku władze ograniczyły moje prawo poruszania się tylko do części śródmieścia Nowego Jorku. Nowy Jork — to nie Ameryka. Jest bardziej „europejski", bardziej intelektualny, bardziej kosmopolityczny, znacznie bardziej kulturalny niż inne miasta amerykańskie, a tym bardziej miasta prowincjonalne.

Nowy Jork nie jest „typowy". Typowe dla amerykańskiego stylu życia jest miasto kilku — kilkunastu — czy kilkudziesięciotysięczne, ze swoją główną ulicą, gdzie te właśnie wszystkie jednakowo wyglądające główne ulice z jednakowymi kinami, jednakowymi, mieszczańskimi ideałami — a raczej mieszczańską bezideowością — formują psychikę młodego człowieka.

Nie jestem więc bynajmniej pewna, czy moje wrażenia i doświadczenia wystarczą choćby dla próby oceny młodzieży USA. Zastrzegam się, że nie stać mnie na jakąś syntezę. To, co w tej chwili piszę, to po prostu luźne spostrzeżenia dziennikarza, skonfrontowane z tym wszystkim, co daje pewna znajomość literatury oraz prasy amerykańskiej.

„STUDS LONIGAN" W R. 1954

Istnieje bardzo ciekawa książka, trylogia wybitnego pisarza Jamesa T. Farrella (który zresztą od kilkunastu lat już nie pisze) pt. „Studs Lonigan". Jest to coś w rodzaju współczesnej amerykańskiej tragedii. Jej bohater wyrasta na śródmiejskiej chicagoskiej ulicy, w rodzinie byłego robotnika, który doszedł do dobrobytu, własnego domu, konta bankowego, który stał się mieszczuchem. Co daje młodemu Studsowi dom, szkoła, ulica? Dom — bigoterię plus wpajanie płaskich mieszczańskich cnót (cel życiowy: przejąć prosperujący interes ojca i pomnożyć jego majątek). Szkoła — to samo plus pogarda dla „niższych ras". Ulica — uwielbienie dla „morowców", dla silnych, którzy pokonują innych pięścią, pieniądzem, czy sprytem — ale przede wszystkim pięścią. Ulica — to także szynk, wódka, karty, brutalne erotyczne przeżycie.

Studs nie jest ani zły, ani głupi, Przeciwnie, ma dużo delikatności, fantazji, szlachetnych porywów, przeżywa ładną, poetycką miłość, a gdy wybucha wojna marzy o wielkich, bohaterskich czynach. Gna go jakiś niepokój, chciałby dokonać czegoś wielkiego, pięknego — ale świat, który zna, nie daje mu odpowiedzi na pytanie, co robić, jak żyć.

„Co robić?" — tym pytaniem kończy się prawie każdy rozdział książki, prawie każdy epizod w życiu Studsa. Nie stać go na świadomy krytycyzm w stosunku do otaczającego go świata, nie posiada świadomości klasowej — stracił ją jeszcze jego ojciec w czasach, gdy z robotnika zrobił się przedsiębiorcą. Nie uświadamia sobie obłudy swego środowiska, które niedzielę zaczyna od niemal histerycznego uniesienia w kościele a kończy na bijatyce w domu publicznym. Studs Lonigan nie umie się zdobyć na krytykę tego świata, ale od niego ginie. Chłopiec, który miał wielkie pragnienia, kończy w rynsztoku. Kryzys 1929 roku, który pozbawia jego rodzinę majątku, wydaje na niego ostatecznie wyrok śmierci.

Taka jest pokrótce treść książki Farrella. Napisana 20 lat temu, pozostała aktualna po dziś dzień. Na ulicach miast amerykańskich wyrastają miliony nowych Studsów Loniganów, młodych, dobrych chłopców, którzy nie umieją znaleźć odpowiedzi na pytanie „co robić" których nie może zaspokoić ideał dorobienia się konta bankowego.

W ostatnich pięciu latach przestępczość młodzieży wzrosła o 45%. Z 19 milionów młodocianych w wieku od 10 do 19 lat ponad 1 milion rocznie popada w jakiś konflikt z prawem, a pół miliona staje przed sądem. W roku 1953 — 150 tys. młodocianych zostało oskarżonych o ciężkie przestępstwa, wielu z nich o morderstwa i gwałty. Do tego dochodzi jeszcze przerażający wzrost używania przez młodzież narkotyków; w Nowym Jorku nie było w ubiegłym roku prawie ani jednej szkoły średniej, w której specjalny aparat śledczy nie wykryłby dzieci handlujących narkotykami. Wydaje mi się jednak, że są to nie tylko przyczyny, lecz również skutki. Że źródła kryzysu leżą głębiej.

„WÓWCZAS CZULIŚMY SIĘ WIELCY"

Przytoczę dwa wypadki. Jesienią ub. roku grupa chłopców w Brooklynie (Nowy Jork) napadła na bezrobotnego Murzyna, starego człowieka; najpierw długo się nad nim znęcała, a potem wrzuciła go do rzeki.

W maju br. syn profesora uniwersytetu siedział przy oknie hotelu w Raleigh. Przed hotelem stały dwie zupełnie nieznane mu kobiety. Chłopak wyjął rewolwer i zastrzelił jedną z nich. W obu wypadkach — zbrodnia zupełnie pozbawiona celu.

W wypadkach tych chodziło nie o młodzież wyrosłą w biednych, slumsowych dzielnicach, lecz o synów solidnych, mieszczańskich, poważanych rodzin. Podczas procesu brooklyńskiego sąsiedzi, koledzy i nauczyciele oskarżonych zeznawali zgodnie, że to przyzwoici, dobrzy chłopcy. Jeden z tych przyzwoitych, dobrych chłopców, wyjaśniając

(Dokończenie na str. 7)

Uzasadnienie

Człowiek walczy z wichurą. Jego twarz jest śmiertelnie blada, mięśnie napięte do ostateczności, wzrok czujny, skupiony. Człowiek opada z sił. Jest coraz trudniej walczyć, a wicher wzmaga się z każdą chwilą. Człowiek prawie godzi się z losem, już, już ma się załamać, lecz gromadzi resztki sił, kładzie się piersią na wszechpotężny strumień powietrza i na przekór wichrom idzie, idzie naprzód. Jego twarz pokryta jest grubą warstwą bielidła, brwi zaznaczone grubymi czarnymi pręgami a wargi nakreślone czerwoną i czarną kredką. Kiedy po skończonej scenie odwraca się do publiczności — niesposób uwierzyć, że żadnego wichru nie było, że był tylko i jest niezrównany mistrz francuskiej pantominy — Marcel Marceau.

Marcel był uznany przez delegatów ostatniego Festiwalu w Bukareszcie za prawdziwe objawienie. I to zapewne nie tylko ze względu na niepojętą magię gestu i mimiki. Jego sztuka nie byłaby tak wspaniała, gdyby nie stanowiła kontynuacji znakomitych tradycji ludowej pantominy francuskiej.

Festiwal jest wielkim świętem kultury, wielkim pokazem sztuki narodowej. Młodzi artyści każdego kraju demonstrują na scenach i estradach festiwalu przede wszystkim to, co najwierniej odzwierciedla psychikę i charakter ich ludu, to co prawdziwie narodowe i dlatego niepowtarzalne. Oglądaliśmy więc w Bukareszcie chiński taniec zbieraczek herbaty, który zawierał czarującą lekkość i pełną wdzięku cierpliwość. Widzieliśmy taniec hinduski sprzed 1500 lat, w którym tlił się bunt kobiety upokorzonej i naznaczonej piętnem hańby. Słuchaliśmy starych pieśni szkockich zespołu Workers Music Association odnajdując w nich dźwięk kobzy i szczęk cynowych kubków, napełnionych pienistym piwem, a także zdrowy, nieco rubaszny śmiech wyspiarskiego ludu. W każdej pieśni, w każdym tańcu, było coś własnego, niepowtarzalnego. Stanowiły te występy potwierdzenie owej wielkiej prawdy, że każdy naród tworzy dzieła własne i oryginalne, że te niepodobne do siebie bogactwa składają się dopiero — wszystkie razem — na niezmierzoną skarbnicę kultury ogólnoludzkiej.

Indywidualność każdej z narodowych kultur jest nieodłączna od internacjonalizmu kultury ogólnoświatowej. Nie można kochać własnego narodu jeśli nie kocha się innych narodów. Jakże łatwo zrozumieć i tę prawdę, będąc wśród młodych artystów festiwalu! Nędzne i głupie okazują się wówczas wszystkie owe — tak chętnie dziś gdzieniegdzie lansowane — frazesy o kulturze „zachodniej" i „wschodniej", „wyższej" i „niższej". Kultury nie można mierzyć kompasem. Nigdy tak jasno nie objawia się prawda o wielkiej kulturalnej wspólnocie świata, jak właśnie w dniach festiwali młodzieży.

Jakże śmieszne okazały się donkichotowskie wysiłki inspicjentów od „żelaznej kurtyny" wobec kultury, która na przekór ich usiłowaniom podróżuje bez paszportów i bez wiz przekracza granice. Słyszeliśmy doskonałego śpiewaka chińskiego w arii z „Cyrulika Sewilskiego" Włocha Rossiniego, „Taniec umierającego łabędzia" Saint-Saensa w wykonaniu młodego Murzyna z Afryki Równikowej, a nawet młodych Arabów z Libanu śpiewających popularną rosyjską „Katiuszę". Polska „Kukułeczka" rozsławiona przez „Mazowsze" powróci na Festiwal do Warszawy w wykonaniu młodych Francuzów, Chińczyków i Czechów. Warszawski Festiwal — owo wielkie święto młodej kultury, będzie nowym dowodem niepodzielności kultury.

Słynne powiedzenie hitlerowskich dygnitarzy głosiło konieczność „odbezpieczenia rewolweru na dźwięk słowa — kultura". Pewni amerykańscy senatorowie głoszą obecnie, że hasło wymiany i współpracy kulturalnej między krajami Wschodu i Zachodu jest „aktem propagandy komunistycznej". Pierwsi zaczęli od palenia książek a skończyli na paleniu ludzi. Ci co przeżyli wojnę nie chcą dopuścić do powtórzenia się historii i w poczuciu wspólnoty oraz w imię wspólnej odpowiedzialności za ocalenie ogólnoludzkiej kultury — jednoczą się czynnie i walczą w obronie pokoju. I taki jest właśnie polityczny sens wielkiej manifestacji kulturalnej.

Za sześć tygodni rozbrzmiewać będzie Warszawa pieśniami wielu narodów. Młodzi przybysze przywiozą swe tańce, swą muzykę bliską i drogą nie tylko im, ale i nam wszystkim. Dzięki tym pieśniom poznamy się lepiej i bardziej jeszcze przypadniemy sobie do serca. Bo sztuka, kultura — łączą narody, tworzą przyjaciół. Kultura to nie bezduszna płyta, nie sposób wiązania krawata czy elektryczny odkurzacz. Kultura to duchowe bogactwo narodu, to pieśń ludowych artystów Anglii, taniec chiński dziewcząt i pantomina Marcela Marceau, którego „Walka z wichurą" nieodparcie przywodzi na myśl słowa Erenburga:

„Kultura to nie świecidełko, nie sieć wygód, nie lista dawnych osiągnięć, lecz nieustanna codzienna twórczość, ruch naprzód, postęp, wzlot człowieka, jego świadomości, jego uczuć. Uzasadnienie zbyt krótkiej może, lecz jakże wspaniałej drogi po umiłowanej ziemi".

J. S.

Naprzód do walki o pokój i przyjaźń młodzieży wszystkich narodów wyznań i ras!

Przed spotkaniami wydziałowymi

Ostatni dzwonek

Nie potrzeba nikomu przypominać, że już za kilka tygodni — Festiwal. Truizmem wydawać się będzie również stwierdzenie, że Festiwal to nie tylko egzotyczne tańce, emocjonujące zawody sportowe czy pełne uroku przedstawienia teatralne; że sprawą główną Festiwalu jest jego treść polityczna — idea pogłębienia przyjaźni we wspólnej walce o pokój.

Pogłębieniu wzajemnej znajomości i przyjaźni między młodzieżą różnych krajów służyć będą także spotkania wydziałowe studentów. I przypomnienie o tej sprawie nie jest już truizmem. Albowiem to, co stwierdziliśmy ostatnio na warszawskich uczelniach o stanie przygotowań do tych spotkań, nie przedstawia się zbyt różowo.

Gdy na Akademii Medycznej czy Politechnice Warszawskiej pytaliśmy napotkanych przygodnie studentów, „co u was na uczelni słychać z przygotowaniami do spotkań", odpowiadali nam wzruszeniem ramion, lub po prostu dziwili się i tłumaczyli — „przecież teraz jest sesja, a w lecie jedziemy na praktyki", itp. Niewiele lepsze wrażenie wynieśliśmy z naszego „tournée" po zarządach uczelnianych ZMP w Warszawie. Kol. Ways, przewodniczący Zarządu Uczelnianego ZMP na Politechnice Warszawskiej nie potrafił nam udzielić żadnych bliższych informacji o stanie przygotowań, a z ogólnikowych wiadomości jakie otrzymaliśmy od niego, dużo już jest całkowicie nieaktualnych. Niewiele więcej można było dowiedzieć się w Zarządzie Uczelnianym Uniwersytetu Warszawskiego. Jaki w tej dziedzinie panuje chaos, niech świadczy fakt następujący: Jeden z członków egzekutywy POP Akademii Medycznej, poinformował nas, że w ogóle żadne spotkanie wydziałowe młodych medyków nie odbędzie się. Natomiast od z-cy przewodniczącego Zarządu Uczelnianego ZMP kol. Syckiego dowiadujemy się czegoś wręcz przeciwnego — że pomimo trudności spotkanie takie (z bogatym programem) jest zaplanowane.

Czy wszędzie jest tak źle? — Nie. Miłą niespodzianką była dla nas wizyta u kol. Chojnickiego, przewodniczącego Zarządu Uczelnianego na warszawskiej PWSP, który udzielił nam nie tylko wyczerpujących informacji o przygotowaniach do spotkania młodych pedagogów, ale pokazał pracowicie wykonane serwetki, rozmaite albumy, haftowane poduszki i inne liczne prezenty, jakie studenci wszystkich sekcji PWSP przygotowali dla uczestników spotkania. Ten pozornie drobny fakt mówi jednak wiele o atmosferze przedfestiwalowej, jaka panuje na tej uczelni.

Stan przygotowań do spotkań wydziałowych należy rozpatrywać z punktu widzenia pracy organizacyjnej oraz merytorycznej, gdzie podstawową rolę odgrywa opracowanie tematów do dyskusji i zapoznanie z nimi kandydatów wybranych do delegacji danego wydziału

Z przygotowaniami organizacyjnymi na niektórych uczelniach warszawskich nie jest najgorzej; świadczy o tym drobiazgowo opracowany budżet i plan spotkania architektów, jaki przedstawił nam adiunkt Szober, pracownik zakładu projektowania obiektów przemysłowych. Niewielki kolektyw młodych naukowców, którzy opracowali ten program, wykazał wielką troskę o przemyślenie wszystkich technicznych szczegółów spotkania. Zarówno opracowanie w pięciu językach tez do referatu prof. Kaczorowskiego „Współczesna architektura i problemy budownictwa mieszkaniowego" — jak i zabezpieczenie dobrej organizacji dyskusji w uroczym parku otaczającym gmach SARP-u — zostało drobiazgowo przemyślane.

Bardzo ciekawie przedstawiają się przygotowania do spotkań młodych historyków. Niezwykle trudny temat: „Walki wyzwoleńcze narodów w okresie II wojny światowej" wzbudził zainteresowanie młodych naukowców. Gościom zostanie rozdany przed dyskusją specjalny biuletyn informacyjny. Plan spotkania przewiduje dyskusję w grupach według zainteresowań np. o problemach historii starożytnej, historii średniowiecznej, nowożytnej itd. Pomyślano również o atrakcyjnej wystawie, o gablotkach ze zdjęciami z życia studentów oraz innych wizualnych dekoracjach informacyjnych.

Przejdźmy teraz do drugiej sprawy, którą stanowią przygotowania uczestników spotkań do dyskusji.

W spotkaniach wydziałowych wezmą udział trzy grupy studentów polskich: delegaci zaproszeni na spotkanie z uczelni pozawarszawskich, zainteresowani spotkaniem uczestnicy Festiwalu oraz trzecia grupa studentów — gospodarze z uczelni warszawskich.

Trzeba stwierdzić, że tylko na niektórych uczelniach warszawskich został ustalony skład tej ostatniej grupy. W czasie naszej wędrówki znaleźliśmy niewiele uczelni, na których już teraz wytypowano przedstawicieli na spotkanie, np.: Państwowa Wyższa Szkoła Pedagogiczna i wydział historii na Uniwersytecie Warszawskim. Przeglądając listy uczestników powyższych uczelni z przyjemnością dostrzegliśmy na nich również studentów lat niższych.

Natomiast na innych uczelniach podobne zespoły nie tylko nie zostały jeszcze skompletowane, ale już teraz można się zorientować, że brani są pod uwagę przede wszystkim przedstawiciele lat starszych oraz asystenci i absolwenci.

Należy jak najszybciej wszędzie wybrać kilkunastu odpowiednich studentów-gospodarzy, śmiało wysunąć kandydatów również z lat niższych i rozpocząć rzetelne przygotowanie ich do dyskusji. Trzeba zaraz, wykorzystując ostatnie dni przedfestiwalowe, zastanowić się nad problemami do dyskusji na spotkaniach. Np. przygotowania młodych fizyków do dyskusji, (która rozwinie się wokół referatu „Perspektywy wykorzystania energii atomowej dla dobra ludzkości") są już w pełnym toku. Z pomocą przychodzą tu odczyty naukowców, z których pierwszy — prof. Sosnowskiego na temat „Perspektywy rozwoju fizyki polskiej" — został już wygłosozny. Tego rodzaju metoda zapoznawania studentów z tematem spotkań wydaje się słuszna i godna naśladowania. Nie spotkaliśmy się z nią jednak na innych uczelniach.

Godną zastanowienia się i przemyślenia jest jeszcze jedna sprawa, a mianowicie zagadnienie metod naszych dyskusji. Stajemy wobec niełatwego problemu dyskusji ze studentami o innych zapatrywaniach i zainteresowaniach filozoficznych, etycznych, politycznych czy kulturalnych. Uczestnicy spotkań wydziałowych, które odbywały się w Warszawie 2 lata temu z okazji Międzynarodowego Kongresu Studentów, pamiętają niewątpliwie nieudolne próby tuszowania tych różnic. Polegały one na „uciekaniu" do przeszłości, w poszukiwaniu problemów „bezkonfliktowych" (np. referat o nauce Kopernika na spotkaniu fizyków i in.), polegały one na spłycaniu dyskusji, na zamykaniu jej w ramach beznamiętnych rozważań. A jednocześnie można się było spotkać wśród naszych delegatów z jakimś mentorstwem wobec tych dyskutantów, którzy stali na innych stanowiskach światopoglądowych.

Jesteśmy głęboko przekonani, że — nie tędy wiedzie droga. Właśnie po to dyskutujemy, by poznać swe różne poglądy, by przekonać się o możliwościach porozumienia, by mieć możność uzasadnienia swego stanowiska i przekonania oponentów.

Wymiana wzajemnych doświadczeń, prowadzona w tonie żywej, rzeczowej polemiki, dopomoże nam wszystkim w pogłębieniu więzów koleżeństwa ze studentami z zagranicy, w uświadomieniu sobie tych wszystkich spraw, które nas tak bardzo łączą w zjednoczonym wysiłku młodzieży świata, w lepszym wykorzystaniu dla naszej wspólnej walki owoców pracy naszych mózgów i rąk.

Czy zobaczymy trio Raisner'a?

W Nr. 23 POPROSTU pisaliśmy o tym, że udział w programie artystycznym Festiwalu zgłosiło już wielkie francuskie „Zrzeszenie Muzyków Grających na Harmonijce". Obejmuje ono 8 tysięcy (!) klubów, a zapewne także — „trio Raisner'a".

Kim jest Albert Raisner? Nie, nie, drodzy Czytelnicy, nie będziemy Wam przedstawiać jego życiorysu w formie ankiety. Powiemy Wam tylko tyle, że skończył Sorbonę, na której otrzymał stopień naukowy doktora nauk humanistycznych za pracę o rozwoju spółgłosek. Podczas wycieczek campingowych polubił harmonijkę ustną, a gdy spotkał — jak mówią literaci — na swej drodze życiowej „olbrzyma" Sirio Rossi i malutkiego (151 cm wzrostu) André Dionnet, postanowił stworzyć zespół. „Marzyłem o utworzeniu klubu dla młodzieży" — mówi Raisner.

Marzenie swe wcielił w życie i — zdobył sławę. Skomponowane przezeń utwory, jak np. „Rytm Azji", „Ładna papuga", „Express Wschód" obiegły kilka kontynentów. Trio Raisnera „zrobiło" już w swych „tournées" 250.000 km: od Marsylii do Helsinek, od Tel-Avivu do Lozanny. Publiczność francuska — wprost szaleje z zachwytu. Przykładem — numer końcowy programu artystycznego po Kongresie UJRF (Związku Młodzieży Republikańskiej Francji) na uroczystym wieczorze w Palais de Chaillot.

Czy usłyszymy „trio Raisnera" podczas warszawskiego Festiwalu?

Po wyborach w Poznaniu

Coraz bardziej zbliżają się dni Festiwalu. Obecnie przystępujemy do wyboru naszych reprezentantów, którzy wezmą udział w tej wielkiej imprezie. W sierpniu do Warszawy przyjedzie z terenu Polski 2500 delegatów i 140 tysięcy uczestników.

Kampania wyborcza na wyższych uczelniach rozpoczęła się od wyborów w Poznaniu. Okres sesji nie sprzyjał zwoływaniu zebrań. Toteż dla zapewnienia właściwej frekwencji trzeba było dużego wkładu pracy aktywu.

W WSR, gdzie zorganizowano punkt dyskusyjny, urządzano uprzednio spotkania z profesorami znającymi obce kraje, wyświetlano przeźrocza itp. — zebrania wyborcze cieszyły się dużą popularnością. Natomiast na AM i UP frekwencja na zebraniach wahała się w granicach 30 proc. ogólnej liczby studentów.

Prawie wszędzie zbyt mało czasu na zebraniach poświęcano omawianiu przygotowań do Festiwalu. W Szkole Inżynierskiej nie wykonano dotąd 60 proc. zobowiązań przedfestiwalowych, na UP bardzo źle wypadła tegoroczna rekrutacja do brygad żniwnych. Na obydwu uczelniach nie wykorzystano zebrań dla omówienia tych problemów i naradzenia się nad możliwością naprawienia zaniedbań.

W czasie Festiwalu studenci będą się znajdowali na obozach, praktykach, wczasach. Można by tam prowadzić pracę propagandową, popularyzującą cele i zadania Festiwalu. Kol. Fikus, przewodniczący ZU Szkoły Inżynierskiej uważał jednak, że omawianie na ostatnim w tym roku akademickim zebraniu zadań na okres wakacyjny — to rzecz zbędna. Byłoby niewskazane, aby przewodniczący Zarządów Uczelnianych innych uczelni podzielili jego sąd.

ZG ZMP wydał instrukcję mówiącą o sposobie wyboru delegatów i uczestników. Okazało się, że pewne jej punkty mogą być mylnie rozumiane skoro tow. Jankowski, zastępca kierownika wydziału szkolno - harcerskiego ZW skomentował jej wskazania w następujący sposób:

„Zarządy kół powinny się wcześniej zebrać celem omówienia kandydatów, prezydium zaproponuje ich, a ogół będzie głosował".

Nie ma nic błędniejszego niż podobne sformułowanie. W czasie wyborów musi być bezwzględnie przestrzegana demokracja wewnątrz-organizacyjna. Młodzież sama wybiera swoich reprezentantów i nie wolno nikogo z góry typować. Dyskusja powinna poddać kto ma najwięcej danych na wyjazd, a głosowanie (jawne lub tajne) ostatecznie sprawę rozstrzygnąć.

Warunkiem uczestniczenia w Festiwalu jest osiągnięcie bardzo dobrych wyników w sesji i aktywna praca społeczna w ciągu roku. Nie można jednak tych kryteriów traktować formalnie. Na Uniwersytecie Poznańskim mieli rację studenci, którzy wybrali na uczestnika kolegę z trójkami, ponieważ stopnie te zdobył nakładem bardzo solidnej pracy.

Zarząd Wydziałowy niesłusznie sprzeciwiał się przyjęciu tej kandydatury. Bowiem problem wyboru delegatów i uczestników Festiwalu nie jest jakąś tam jeszcze jedną „akcją" do odbębnienia, tym trudniejszą, że przebiega w czasie gdy i aktyw i wszyscy studenci zajęci są zdawaniem egzaminów. Wybór ten jest sprawą wyjątkowej wagi.

Na całym świecie obserwujemy ogromną intensyfikację festiwalowych przygotowań, ogromne wysiłki młodzieży, dążącej do tego by ich delegacja przedstawiała się okazale i pod względem ilościowym i jakościowym i bogactwa programu, który mogłaby zaprezentować w Warszawie. Ten światowy ruch zobowiązuje nas w przeogromnym stopniu. Bądź co bądź widownią Festiwalu będzie nie żaden inny, ale właśnie nasz kraj. Dlatego też nie ma wysiłków, które byłyby zbyt wielkie, by nasza delegacja składała się z ludzi godnych reprezentowania przed całym światem polskiej młodzieży.

Wybór ma również poważne znaczenie wychowawcze. Udział w Festiwalu jest nagrodą za pracę. Wymaga to poważnego, dogłębnego, analitycznego stosunku do każdej kandydatury, a pośpiech i niedbałość nie mogą temu sprzyjać.

Sądzimy, że nie od rzeczy będzie zastanowić się nad powyższymi problemami przed przeprowadzeniem wyborów delegatów i uczestników w innych ośrodkach akademickich.

HALINA WIEGNER

Wywiad z prof. dr Adamem Schaffem

przewodniczącym Komitetu Filozoficznego PAN

W ostatnim okresie daje się zauważyć poważny wzrost zainteresowań problematyką ideologiczną, i to nie tylko jej publicystycznymi przejawami, ale także naukowym zapleczem. Jest to uzasadnione między innymi dokonującym się rozwojem polskiej myśli marksistowskiej. Nasza nauka filozoficzna wzbogaciła się ostatnio o nową monografię — „Obiektywny charakter praw historii" prof. dr Adama Schaffa. Ze względu na teoretyczną i praktyczno - polityczną doniosłość poruszonej problematyki i ze względu na nowy i twórczy sposób rozwiązania podstawowych problemów metodologii historiografii — książka prof. Schaffa jest wydarzeniem w naszym życiu naukowym.

Ponieważ sądzimy, że Czytelników naszych interesuje zarówno zagadnienie warsztatu naukowego, przy pomocy którego napisany został „Obiektywny charakter praw historii", jak i problemy obecnej sytuacji polskiej filozofii oraz perspektywy jej rozwoju — zwróciliśmy się do autora wymienionej pracy i jednocześnie przewodniczącego Komitetu Filozoficznego PAN z prośbą o udzielenie wywiadu na powyższe tematy.

Wywiad z profesorem Schaffem publikujemy poniżej

*

Pytanie: Chcielibyśmy zapytać Towarzysza Profesora, jakie motywy przyczyniły się do wybrania zagadnienia charakteru praw historii dla monograficznego opracowania?

Odpowiedź: Zagadnienie obiektywnego charakteru praw jest podstawowym zagadnieniem wszystkich gałęzi wiedzy, szczególnie ważne jest ono w nauce historycznej. Trwający bowiem od drugiej połowy ubiegłego stulecia atak przeciwko naukowemu charakterowi tej dyscypliny prowadzony jest właśnie pod sztandarem negacji obiektywnego charakteru praw rozwoju społecznego. Zjawisko to związane jest ściśle z polityką. Mianowicie, w miarę opanowywania przez rewolucyjny ruch robotniczy ideologii naukowej więź teorii z polityką staje się coraz jaskrawsza, co warunkuje negatywny stosunek ideologów burżuazji do zagadnienia obiektywności praw historii.

Tak np. od drugiej połowy XIX w. rozwinął się cały szereg kierunków negujących w ten czy inny sposób obiektywność praw historii. Negację tę przeprowadzano różnorodnie: idiografizm czynił to wręcz jawnie, inne kierunki — w sposób zamaskowany, poprzez obiektywno lub subiektywno - idealistyczną mistyfikację „wymyślanych" pseudopraw. Ten proces atakowania historii poprzez negację jej praw uwidacznia się ostatnio szczególnie jaskrawo w historiografii angielskiej i amerykańskiej.

Ogólnie trzeba powiedzieć, że zarówno teoretyczne jak i praktyczno-polityczne znaczenie tej problematyki wysuwa ją na czoło zadań stojących przed filozofami - marksistami w dziedzinie metodologii humanistyki. Do uświadomienia sobie konieczności podjęcia tej problematyki przyczyniła się poważnie ostatnia praca Stalina.

Te właśnie momenty spowodowały, że postanowiłem zająć się tą problematyką.

PYTANIE: Jakie trudności wystąpiły w toku opracowywania tej problematyki?

ODPOWIEDŹ: W trakcie opracowywania tej problematyki okazało się, że pozostawanie w sferze ogólnych rozważań metodologicznych nie pozwala na właściwe rozwiązanie zagadnień. Dla wykazania wyższości metody marksistowskiej należy przeprowadzić dowód praktyczny. Wykazanie idealistycznego charakteru danej szkoły burżuazyjnej nie wystarcza — trzeba ponadto wykazać wyższość metody marksistowskiej w dziedzinie rezultatów wynikających z posługiwania się nią.

Chciałbym tu zauważyć, że wśród niektórych reprezentantów nauk szczegółowych istnieje niedowierzanie wobec filozofii. Niechęć tę można przezwyciężyć jedynie przez wykazanie, że właściwa metodologia pozwala na osiągnięcie lepszych rezultatów w dziedzinie konkretnej dyscypliny wiedzy.

Stało zatem przede mną w toku pisania zadanie: łączyć ogólne rozważania metodologiczne z rozważaniami opartymi o praktyczne badania w dziedzinie nauki historycznej. Aby wykonać to zadanie trzeba przezwyciężyć dwie zasadnicze trudności. Pierwszą z nich jest konieczność łączenia kompetencji filozofa z kompetencjami historyka. Jednak nawet przy łączeniu tych kompetencji trudności pozostają, brak bowiem jakichkolwiek przykładów takiego podejścia do zagadnień ze strony metodologów i historyków. Ci historycy burżuazyjni, którzy zajmowali się zagadnieniami metodologicznymi, stawiali je w sposób zupełnie abstrakcyjny. Podobnie czynili niestety metodologowie marksiści.

PYTANIE: W jaki sposób Towarzyszowi Profesorowi udało się przezwyciężyć te trudności?

ODPOWIEDŹ: Przede wszystkim bynajmniej nie twierdzę, że udało mi się pokonać wszystkie trudności. Poczyniłem jednak pewne wysiłki w tym kierunku. Mój sposób działania był następujący: po pierwsze stawiałem teoretyczne zagadnienie, następnie przeprowadzałem krytyczną analizę dotychczasowych burżuazyjnych rozwiązań tego zagadnienia, a dopiero później szukałem rozwiązania pozytywnego. Na końcu rozważań starałem się ilustrować wartość poszczególnych rozwiązań (np. prace o wojnie chłopskiej w Niemczech pióra Ranke'go i Engelsa) przykładami z dziejopisarstwa. Starałem się ukazać jedno i to samo zagadnienie badane raz w oparciu o metodologię burżuazyjną, raz w oparciu o metodologię marksistowską i wykazać na przykładzie jego rozwiązań w praktyce dziejopisarskiej wyższość naszej metodologii.

Jednak nie jest to najlepszy sposób rozwiązania. Znacznie lepiej byłoby, gdyby rozwiązania praktyczne były nie tylko końcową ilustracją pewnych tez. Winny one być punktem wyjścia. Znaczy to, że na podstawie konkretnych ujęć dziejopisarskich dokonywane by były rozważania metodologiczne, przeprowadzane uogólnienia, a następnie analiza praktycznej wartości poszczególnych metod leżących u podstaw tych różnych ujęć. Takie idealne podejście wymaga współpracy historyków, badających konkretne zagadnienia, z filozofem, który zajmuje się metodologią dziejopisarstwa. Trzeba jednak powiedzieć, że sprawa współpracy filozofów i przedstawicieli nauk szczegółowych w zakresie metodologii jest odrębnym i obszernym zagadnieniem.

PYTANIE: Jakie są obecnie — zdaniem Towarzysza Profesora — najważniejsze kierunki badań w zakresie filozofii, które należałoby podjąć u nas?

ODPOWIEDŹ: Odpowiadając na to pytanie ograniczę się tylko do problematyki materializmu dialektycznego i historycznego. Zagadnienia historii filozofii i logiki są tak bogate, że należałoby je omówić oddzielnie.

Jeżeli chodzi o materializm historyczny, to przede wszystkim należy wskazać na konieczność filozoficznego uogólniania doświadczeń wynikających z rozwoju naszego społeczeństwa w procesie budowy podstaw socjalizmu. Dotychczasowe sposoby tego uogólniania nie są moim zdaniem najwłaściwsze. Jeżeli chcemy pokazać, jak wygląda rozwój naszego społeczeństwa i stworzyć w ten sposób naukową podstawę dla świadomej polityki społecznej, musimy sięgnąć do faktów. Wynika z tego konieczność przeprowadzenia badań terenowych, w polu widzenia których znalazłyby się wszystkie problemy związane z przemianami społecznymi, gospodarczymi i kulturalnymi w naszym kraju.

Stan kadr filozoficznych pozwala jednak zająć się w tej chwili tylko kluczowymi zagadnieniami. I tak problemem, na którym mamy zamiar skoncentrować się w ciągu najbliższych lat, jest problem rozwoju i przekształceń polskiej klasy robotniczej. Badania te będą prowadzone przez placówki PAN w fabryce na Żeraniu a także w wielkiej fabryce tekstylnej w Łodzi. Kontynuowane będą także (prowadzone w Łodzi) badania nad kształtowaniem nowej inteligencji polskiej.

Badania te wysuwają poważne zagadnienia metodologiczne i metodyczne, nastręczają duże trudności. Jeżeli przezwyciężymy je, wywiążemy się z zadania, które postawiła przed nami Partia.

Drugim ważnym zadaniem naszej filozofii jest udzielanie pomocy metodologicznej naukom o przyrodzie i społeczeństwie. Związanie filozofii z naukami szczegółowymi przyniesie niewątpliwie obustronne korzyści. Dotychczasowe badania np. kategorii dialektyki posiadały charakter ograniczony ze względu na oderwanie od nauk szczegółowych. Przezwyciężenie tej słabości możliwe jest tylko przez wiązanie badań filozoficznych z konkretnymi zagadnieniami nauk szczegółowych.

A zatem stoi przed naszą filozofią zadanie zerwania z ogólnikowymi metodami badań. Np. zagadnienie determinizmu postawione ogólnie, tylko w płaszczyźnie filozoficznej, prowadzi do ograniczonych rezultatów. Inaczej jest, gdy badamy je w powiązaniu z aktualnymi trudnościami fizyki jądrowej, z zagadnieniami wysuwanymi przez obecny rozwój nauk szczegółowych.

Trzeci kierunek dociekań o szczególnym znaczeniu na gruncie polskim, to badanie zagadnień semantyki. Jest to u nas dlatego specjalnie istotne, że w naszej logice i w językoznawstwie rozpowszechnione były idealistyczne wypaczenia zagadnień semantyki. Można powiedzieć, że doprowadzenie do końca krytyki idealistycznej semantyki jest długiem honorowym naszej filozofii. Krytyka ta została już rozpoczęta, ale nie będzie ona uwieńczona ostatecznym sukcesem, dopóki sprawy semantyki nie doczekają się pozytywnych rozwiązań. Rozwiązania wymagają takie zagadnienia jak np. język a myślenie, stosunek języka do rzeczywistości itd.

Wyszczególnienie tych trzech kierunków nie oznacza przekreślenia innych badań. Znaczy ono tylko tyle, że te trzy kierunki są zasadnicze w dalszym rozwoju naszej filozofii. Nie wymieniam tu jako odrębnego zagadnienia krytyki burżuazyjnej ideologii, ponieważ krytyka ta winna być przeprowadzana przy rozwiązywaniu każdego zagadnienia.

PYTANIE: Najszersze kręgi społeczeństwa interesują się filozofią głównie poprzez publicystykę ideologiczną. Czy Towarzysz Profesor zechciałby ocenić obecny stan tej publicystyki?

ODPOWIEDŹ: Trzeba przyznać, że filozofia nasza nie spełnia swego zadania od strony szerszego wychodzenia do społeczeństwa w dziedzinie publicystyki. Tłumaczy się to częściowo tym, że dotychczas byliśmy zajęci głównie przygotowaniem kadr filozoficznych Ogólnie trzeba powiedzieć, że obecny stan jest regresem wobec pierwszych lat po wyzwoleniu, kiedy mimo znacznie większych obiektywnych i subiektywnych przeszkód filozofia nasza starała się bardziej bezpośrednio wpływać na rozwiązanie aktualnych problemów ideologicznych.

Ta słabość dzisiejszej publicystyki filozoficznej daje się odczuć szczególnie po III Plenum. Gdy na fali trzeciego Plenum zaczęły tu i ówdzie występować poglądy chwiejne i mętne, czasami wręcz fałszywe (np. w zagadnieniu kierownictwa partyjnego kulturą i nauką) wówczas zabrakło głosów filozofów, których bezpośrednim zadaniem było okazanie pomocy Partii właśnie na tym odcinku. Istnieją pewne przejawy oderwania naszego frontu filozoficznego od tych zagadnień, którymi żyje społeczeństwo. Musi to ulec naprawie.

Obecnie odbyły się na ten temat dyskusje wśród filozofów i można liczyć na szersze włączenie się ich poprzez publicystykę do rozwiązania istotnych zagadnień życia ideologicznego polskiego społeczeństwa.

Szczególnie ważne są tu problemy moralności, dotychczas zaniedbane przez naszą filozofię, następnie zagadnienie stosunku wolności do praw rozwoju społecznego, zagadnienie kierownictwa partyjnego nauką i kulturą. Są to przykłady kręgów problemowych, które winny się znaleźć jak najszybciej w orbicie publicystycznych i naukowych zainteresowań polskich filozofów.

PYTANIE: Chcielibyśmy jeszcze zapytać, jakie są naukowe plany Towarzysza Profesora?

ODPOWIEDŹ: Mam zamiar dalej pracować nad zagadnieniami metodologii historii. W tej chwili mam na warsztacie zagadnienie prawdy w nauce historycznej. Będę się także zajmował zagadnieniem obiektywności prawdy, polemizując z relatywizmem. Kiedyś w dalszej przyszłości chciałbym wrócić do problemów semantyki.

Rozmawiali

I. KUCZYŃSKI
K. POMIAN

LUKA

Historia Anki to opowieść zasłyszana. Jeśli nawet sam coś do niej dodałem, to odtwarzając wypadki miałem głębokie przekonanie, iż są one przynajmniej bliskie prawdy, że prawdopodobnie rzecz właśnie tak się miała.

Anka uzyskała zgodę na wyjazd na studia wiedząc, że decyzja ta przyszła rodzicom wcale nie łatwo.

Nie było dla nich prostą sprawą puścić dziewczynę samą do miasta. Do tej pory bowiem pozostawała stale pod ich czujną opieką. Wiedzieli o każdym kroku córki, godzinach powrotu ze szkoły, zadanych lekcjach. Ingerowali w jej znajomości, mówiąc:

— To nie jest towarzystwo dla ciebie, lepiej, żeby Krysia u nas nie bywała. Albo — bardzo miła dziewczynka ta Janka, poproś by częściej do nas zaglądała.

Nie godzili się, by uczęszczała na zabawy w myśl zasady: „ma jeszcze czas". Do kina Anka chodziła z ojcem, do kościoła z matką.

Kiedy przychodzili goście i rozmowa schodziła na bardziej „życiowe" sprawy, matka ostrzegawczo mówiła: „dziecko słucha". Wówczas wszyscy milkli.

Książki do czytania wydawał jej ojciec z zamkniętej na klucz biblioteki odpowiednio je dobierając. O wyborze materiału na nową sukienkę decydowała matka. Anka dorastała w szklanym akwarium, którym był jej dom rodzinny, daleka od nieznanych jej spraw życia. Dni jej podobne były jeden do drugiego jak dwie krople wody. Jej sądy o świecie zamykały się w formułkach zasłyszanych od ojca lub matki.

Tak było aż do chwili, kiedy złożyła egzamin maturalny. Jesienią wyjechała na studia do Gdańska pozostawiając w N. nie tylko dom rodzinny, ojca, matkę, ale cały ten klimat i tradycyjny system wychowawczy, kształtowany przez wieki. Jeden świat — zamknął się za Anką — otwierał zaś przed nią drugi odmienny, bujniejszy, i ciekawszy. Dla Anki wszystko było nowe. I uczelnia ze swymi salami wykładowymi i pracowniami i dom akademicki. Po raz pierwszy w życiu przyszło jej spać nie samej w pokoju.

Głównie jednak oszołomiło ją miasto. Nigdy w życiu nie była w dużym mieście. Wyobrażała je sobie jako miejsce, gdzie domy są większe i bardziej zgęszczone w przestrzeni niż w N. i ludzi więcej. Okazało się jednak, że różnice nie ograniczają się jedynie do urbanistyki i ilości mieszkańców. Miastu charakter nadaje port i stocznia.

W godzinach, kiedy Gdańsk pracuje, Anka siedziała na wykładach i ćwiczeniach.

Wychodziła zaś z uczelni, gdy życie przeciętnych mieszkańców skupiało się w ich domach, przy rodzinach, a Gdańsk nabierał specyficznego charakteru wielkiego portowego miasta.

Otwierały się dziesiątki knajp, na ulicach pełno było marynarzy polskich i zagranicznych, na rogach stały jaskrawo wymalowane kobiety. Wszystko to stwarzało szczególną atmosferę, trudną do oddania w dziennikarskiej relacji.

Anka patrzyła na miasto, jak ogląda się egzotyczne zwierzę w klatce. Coś pociągało ją do przeniknięcia tej atmosfery. Ale było to spojrzenie przypadkowego przybysza - turysty, który ogląda egzotyczny, lecz obcy folklor.

A jednak Anka z ogromną szybkością stawała się innym człowiekiem.

Po pierwsze życie zmuszało ją do samodzielności w dziesiątkach codziennych drobiazgów. Sama wybierała lekturę, a raczej czytała wszystko co koleżanki dzielące z nią pokój. Były to książki różne, dobre i złe, ale wszystkie w sposób rewolucyjny przekształcały zasób jej wiadomości o życiu, otwierały perspektywy na nowe dla niej sprawy i pojęcia.

Anka z początku odczuwała pewien lęk i zażenowanie w obliczu męskiego towarzystwa. Uczucie to, które starała się ukryć przed koleżankami, powoli zanikło. Wstydząc się, że towarzystwo chłopców jest dla niej czymś nowym, chodziła na zabawy, a nawet siliła się na sztuczną, a przez to przesadną swobodę w obcowaniu z kolegami.

Minęło kilka miesięcy, w styczniu Anka skończyła 18 lat.

Była już wtedy w znacznej mierze innym człowiekiem niż owa panieneczka z dwoma długimi warkoczami i pełną walizką fartuszków, która wyjeżdżała z N. obarczona mnóstwem przestróg matki.

Przestała chodzić do kościoła i modlić się wieczorami. Nie spowodowały tego jakieś głębsze przemyślenia, przeobrażenia światopoglądowe. Po prostu brak było matki, która by dopilnowała sumienności w wykonywaniu praktyk, poza tym zaś niedzielne przedpołudnia zajęte były na naukę z koleżankami, a wspólny pokój nie sprzyjał demonstrowaniu bądź co bądź intymnych uczuć religijnych.

Anka jeszcze przed maturą, zresztą za radą ojca, została członkiem ZMP. (Miało to pomóc w dostaniu się na wyższą uczelnię). W organizacji zetknęła się z nowymi kryteriami w ocenie ludzkich spraw i postępków. W ogóle zaś pojęcia i zasady życiowe ludzi, z którymi cały dzień przebywała i współżyła, diametralnie różniły się od pojęć jej rodziców. Przyjmowała te nowe tak samo bezkrytycznie jak ongiś stare.

Wiele czynników można by jeszcze wymieniać. Ale po cóż? Fakt, faktem, że w nowych warunkach ów misternie, przez lata, budowany przez rodziców Anki gmach wychowawczy prysł i rozleciał się równie niepostrzeżenie co dokładnie.

Anka ze stycznia w porównaniu z Anką z września była bez porównania dojrzalszym, głębiej myślącym i bardziej samodzielnym człowiekiem.

Był to moment ważny, decydujący w jej życiu. Jakaż szkoda, że tego, co dziś widzimy z taką ostrością, nie dostrzegali wówczas jej koledzy. Jakaż szkoda, że nic nie wiedzieli o warunkach w jakich wychowywała się Anka, o jej myślach i marzeniach...

Anka zdała sobie sprawę, że żyła w jakimś półuśpieniu i zapragnęła jakiegoś pełniejszego, bujniejszego i ciekawszego życia.

Trudno jest wniknąć w stan psychiczny człowieka, w jego potrzeby i dążenia, z których często on sam zresztą nie zdaje sobie sprawy, nie można było wymagać tego od jej kolegów. To prawda.

Ale gdybyż wtedy głębiej zainteresowano ją jakąś poważniejszą a ciekawą pracą naukową. Gdyby dano jej funkcję w organizacji, która rzuciłaby dziewczynę w wir pracy społecznej. Gdybyż... trudno zresztą powiedzieć co. Kiedy cały zespół myśli i środków wychowawczych jej rodzinnego domu bezpowrotnie rozpadł się, nic nowego nie weszło w tę lukę. Bo czyż pewne podstawowe, ogólnopolityczne prawdy, z którymi zetknęła się Anka na zetempowskich zebraniach, poddawały pełnię sensu życia? Czy ukazywały w sposób przekonywający kierunek postępowania, właściwy sens ludzkich poczynań?

Różnie mogłyby się potoczyć losy naszej bohaterki. Życiem jej jednak pokierował przypadek — w tym wypadku daleka pochodna konieczności...

Anka poznała młodego technika ze stoczni. Podobno pierwsza miłość jest najsilniejsza. Ta miłość miała taką siłę, że przełamała wiele zakorzenionych przez wychowanie w N. oporów.

Anka żyła tylko tym jednym uczuciem. Wszystko inne: studia, organizacja, lektura, rozrywki odpłynęły na dalszy plan, chociaż pozornie, tak jak dawniej sumiennie wywiązywała się z obowiązków studentki. Nowopoznanemu człowiekowi dała z siebie wiele. Jak wiele, może zrozumieć tylko człowiek, znający siłę wychowawczego oddziaływania „porządnego" domu opartego na katolickich fundamentach moralnych.

Ów technik dostał akurat znaczną premię za jakiś pomysł racjonalizatorski. Zaprosił kolegów i ich dziewczyny do lokalu. Anka poszła również. Oblewanie trwało kilka dni. Nawet gdy premia się wyczerpała Anka zaczęła stale bywać z ukochanym w różnych lokalach.

Po miesiącu technika służbowo przeniesiono do Szczecina. Obiecał pisać.

Anka czekała miesiąc. Straciła humor, zamknęła się w sobie, zgorzkniała. Życie na uczelni przestało ją interesować. Obowiązki swe wypełniała mechanicznie.

Potem poznała jakiegoś aktora. Przez niego zaznajomiła się z przystojnym saksofonistą z jakiegoś lokalu. Spotykali się co wieczór.

Może Anka zasmakowała w nocnym życiu Gdańska, a może przyzwyczajona, że losami jej kierują inni, poddawała się życiu tak jak ono się układało, biernie, bez przekonania, ale też nie mając siły kształtować go inaczej. A może w końcu zupełnie nie wiedziała jak je kształtować, z chwilą, gdy nie mogła się już przejmować prymitywnymi wskazaniami moralnymi rodziców, a innego sposobu układania życia nikt w sposób głęboki i przekonywający nie pomógł jej odnaleźć. Trudno powiedzieć, Anka nie jest dziewczyną skorą do zwierzeń.

Wiosną rzadko już nocowała w domu akademickim. Przychodziła wprost na wykłady obojętna i zmęczona, by zaraz po ich zakończeniu, gdzieś znikać. Czasem rano czuć było od niej jeszcze alkohol.

Jako się rzekło trochę szeptano o tym na uczelni po kątach. Ale tryb życia Anki nie był niczym aż tak nadzwyczajnym na gdańskiej uczelni, aby wzbudzić szczególną uwagę.

W tym samym czasie zetempowskie władze uczelni miały liczne kłopoty wychowawcze Czterech studentów. I roku, nocą, po pijanemu, „dla kawału" wykoleiło tramwaj. Inny student zachował się po chamsku w stosunku do funkcjonariuszki straży przemysłowej. W żeńskim domu akademickim raz po raz odbywały się tak głośne (w sensie dosłownym) libacje, że cała ulica stawała na nogach. W zespole tych wydarzeń sprawa Ani ginęła niezauważona. Tylko najbliższe koleżanki próbowały z nią mówić, ale ich argumentacja była nadzwyczaj uboga: „Anka, szwendaj, się szwendaj to złapiesz dzieciaka i ojciec dobierze ci się do skóry".

Decydujący moment przyśpieszył znów przypadek.

Anka pewnego dnia, wracając w stanie niezupełnie trzeźwym do domu — stłukła niechcący szybę u drzwi wejściowych. Zrobiła się awantura w administracji. Zawiadomiono koło ZMP.

Sprawę Anki omawiano na zebraniu zetempowskim po raz pierwszy i ostatni w początku maja. Wytknięto jej kolejno nocne eskapady i brak aktywności społecznej. Potępiano „prowadzenie się" Anki jako niegodne zetempówki. Charakteryzowano ludzi, z którymi się stykała. Ktoś tam dorzucił, że widział ją na ulicy kompletnie pijaną, ktoś inny dodał, iż spotkał dziewczynę w parku w zupełnie niedwuznacznej sytuacji. Wnioski uczestników były zgodne.

„W związku z obliczem... itd. proponujemy usunąć z organizacji".

(Dokończenie na str. 6)

Nasi delegaci na Festiwal

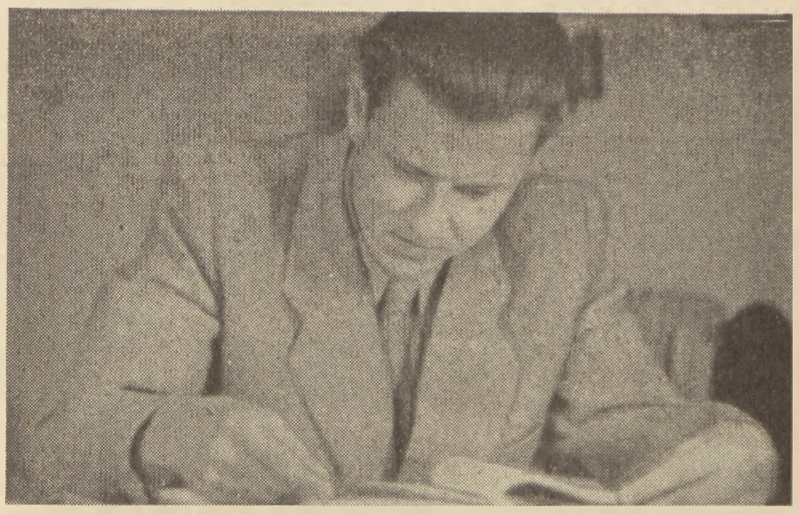

Jako student I r. Edward Pieścikowski miał jedną ambicję — uczyć się jak najlepiej. To postanowienie realizował sumiennie przez 4 lata. — Tylko jeden egzamin zdał na „dobry". Przy innych egzaminach i kolokwiach widnieje ocena „bardzo dobry".

Stopniowo rozszerzał się zakres jego działalności na uczelni. Zaczął brać żywy udział w pracy społecznej. Na I r. był starostą grupy, na II — powierzono mu funkcję starosty roku. Krystalizowało się zainteresowanie Edwarda Pieścikowskiego pracą naukową. Wstępuje w tym czasie do koła naukowego historyków literatury i wkrótce zostaje jego przewodniczącym. Wprowadza szereg innowacji w pracy koła, projektuje (realizowaną do tej pory) koncepcję akcji popularyzującej wśród młodzieży piękno i dorobek literatury. Uczniowie Liceum Pedagogicznego nr 1 w Poznaniu, uczestnicy Młodzieżowego Domu Kultury pamiętają ciekawe wieczory poezji Reya, Kochanowskiego i i innych poetów zorganizowane przy pomocy Pieścikowskiego.

Mimo licznych zajęć na uczelni i aktywnej pracy w organizacji oraz wyjazdów do rodzinnego miasta i innych osiedli woj. poznańskiego z odczytami — Edward podejmuje pracę naukową. Wraz z przyjacielem piszą o realizmie w powieści M. Dąbrowskiej „Noce i dnie". Po ogłoszeniu monografii Pieścikowski otrzymuje stypendium specjalne, profesor wróży mu piękną przyszłość naukową.

Stanowiło to poważną zachętę do dalszej pracy. Rozpoczyna badania nad okresem pozytywizmu na terenie Wielkiego Księstwa Poznańskiego. Temat ten jest znany dotąd w bardzo ogólnych zarysach.

Badania Edwarda Pieścikowskiego znacznie przekraczają ramy pracy magisterskiej. W połowie IV r. otrzymuje asystenturę przy katedrze historii literatury polskiej.

Jego koleżeńskość, zdolności, pracowitość, znane są ogólnie na UP. Toteż nic dziwnego, że kandydatura Pieścikowskiego na członka polskiej delegacji festiwalowej została poparta przez ogół studentów.

Tak się złożyło, że Edward Pieścikowski nigdy dotąd nie był w Warszawie, będzie mógł więc ujrzeć stolicę po raz pierwszy w pełnym blasku i uroku festiwalowych dni.

* * *

Kiedy podano kandydaturę kol. Łybackiego — na sali zrobiło się gwarno. Studenci cieszyli się i klaskali, ale były też dwa głosy sprzeciwu.

Jeden był to głos przew. ZW — kol. Bolewickiego, drugi... samego kandydata. Argumenty były identyczne: „Na Festiwal nie można jechać mając trójki z dwu egzaminów".

I tak się zaczęła długa dyskusja. Kolejne wypowiedzi odtwarzały fragmenty z życia Łybackiego, z życia roku, na które Łybacki miał duży wpływ.

Władek Łybacki jest starszy od kolegów ze swego roku o kilka lat nielekkiego życia i niełatwych doświadczeń. Pochodzi z ubogiej i licznej rodziny chłopskiej.

Cóż z tego, że Łybacki ostatnio otrzymał słabsze stopnie skoro w tym samym czasie, kiedy koledzy z II r. spokojnie uczyli się w szkole, Łybacki też w szkole... pracował. Uczniowie i towarzysze darzyli go wielkim szacunkiem i miłością za jego lekcje, prowadzone dobrze i ciekawie oraz pracę kulturalno-oświatową. Miał czas zajęty od rana do późnego wieczora — praca wiejskiego nauczyciela nie kończy się z ostatnim dzwonkiem.

Wydz. Oświaty skierował go na Uniwersytet.

Od pierwszych chwil pobytu na uczelni wyróżnia się pilnością. Jako organizator grupy bierze czynny udział w pracy społecznej. Większość akcji kulturalnych jak wycieczki do teatru, kina, zwiedzanie muzeum przeprowadzono z jego inicjatywy. Potrafił zachęcić kolegów do wyjazdu na żniwa w PGR, terminowego zdania sesji letniej — mimo że w przeciągu 2 tygodni przypadały aż 4 egzaminy.

To prawda, że po długiej przerwie między maturą a I rokiem studiów trudniej mu się obecnie uczyć. Ale Łybacki to jedyny chyba ze studentów II r. historii, który jest zawsze przygotowany na zajęcia, a stopnie zdobywał rzetelną pracą.

„Wasz sprzeciw — zwrócił się kol. Kotulski do przewodniczącego ZW — traktujemy jako obrazę dla roku".

Kol. Łybacki został jednomyślnie wybrany uczestnikiem Festiwalu.

Wielki wakacyjny konkurs — ankieta
pod hasłem
„Niepróżnujące próżnowanie"

Przed nami tygodnie wolne od zajęć na uczelni. W tym czasie wielu z nas wyjedzie na wieś, do rodzinnego domu, gdzie będziemy odpoczywać, opalać się, reperować nadwątlone nauką siły. Jednak nawet najsumienniej leniuchującemu „na łonie rodziny" studentowi pozostanie trochę czasu, z którym nie wiadomo co zrobić.

Możesz naturalnie leżeć na sianie i myśleć, że życie bez konieczności zdawania egzaminów jest piękne. Ale mógłbyś od czasu do czasu zdziałać coś pożytecznego.

Opierając się na powyższym wywodzie logicznym Redakcja POPROSTU ogłasza:

wakacyjny konkurs - ankietę

Jeżeli nie jesteś pomysłowy, energiczny, brak Ci fantazji i rozmachu, nie masz zdolności organizatorskich — nie czytaj dalej.

Nasz KONKURS-ANKIETA jest dla ludzi myślących i czujących, lubiących zmiany i czynne życie. Jeśli dodamy, że prócz zadowolenia z dokonania pięknego czynu będziesz miał możność wygrać: aparat fotograficzny, kupon materiału, skórzaną walizkę itp., to zapewne niewielu studentów oprze się chęci wzięcia udziału w WAKACYJNYM KONKURSIE-ANKIECIE REDAKCJI POPROSTU.

Warunki KONKURSU nie są trudne.

PUNKT 1: Po przyjeździe na miejsce należy zaznajomić się z sytuacją i zastanowić: W jaki sposób mógłbyś przyczynić się do polepszenia życia w Twojej wsi.

Możesz np. zorganizować wieczornicę festiwalową lub pomóc w założeniu świetlicy, zespołu artystycznego, czy drużyny sportowej. A jeśli masz więcej czasu i... wiedzy — zorganizuj odczyt na tematy popularno - naukowe z dziedziny rolnictwa, zainteresuj się stanem zdrowotnym mieszkańców, udziel im porad prawnych, rozpocznij badania nad folklorem...

Liczymy na Twoją inteligencję, która podsunie Ci szereg innych możliwości wykazania swej inicjatywy i pomysłowości na terenie wsi.

PUNKT 2: Dobry piękny pomysł to jeszcze nie wszystko. Punkt drugi naszego KONKURSU-ANKIETY przewiduje realizację pomysłu, indywidualnie lub grupowo.

PUNKT 3: Po dokonaniu zamierzonej pracy należy nadesłać do Redakcji POPROSTU sprawozdanie. Relacje z przebiegu pracy mogą być podane w formie notatki, listu, pamiętnika czy opowiadania. Nie martw się, jeśli nie umiesz pięknie pisać. Chodzi przede wszystkim o jakość dokonanego czynu.

W miarę możności zaopatrz swój materiał zdjęciami.

Termin nadsyłania sprawozdań upływa z dniem 31 października.

PUNKT 4 i ostatni. Cierpliwie czekać na ogłoszenie wyników KONKURSU-ANKIETY, które nastąpi w pierwszych dniach grudnia.

Zwycięzców czekają następujące nagrody:

I. APARAT FOTOGRAFICZNY
II. KUPON MATERIAŁU
III. SKÓRZANA WALIZKA
IV. WIECZNE PIÓRO
ORAZ KILKA KOMPLETÓW KSIĄŻEK.

Już w następnym numerze POPROSTU wyniki:

- **PLEBISCYTU NA NAJŁADNIEJSZY UŚMIECH STUDENTKI**
- **KONKURSU WIOSENNEGO „GDZIE BĘDĄ STUDIOWAĆ"**

JERZY WIATR

Trzeba patrzeć i widzieć

(List do wielu przyjaciół)

Mój drogi.

Piszę do Ciebie — fikcyjnego adresata o niefikcyjnych sprawach. Właściwie te niefikcyjne sprawy dotyczą tak wielu z nas — w ten czy inny sposób współodpowiedzialnych za pracę wychowawczą na uczelni, że forma listu może się wydać niestosowna. Usprawiedliwia ją tylko jedno. Uwagi kreślone na gorąco; uwagi, które jeszcze nie zdążyły przejść przez filtr chłodnej, wszechstronnej rozwagi, słowem pierwsze impresje egzaminacyjne w tej właśnie formie podać jest chyba najprościej.

Egzaminowałem z podstaw marksizmu - leninizmu studentów pierwszego roku SGPiS Ściślej mówiąc egzaminuję jeszcze (ilość egzaminowanych sięga dwóch setek), ale już pierwsze zetknięcia nasuwają mi pewne uwagi. Nie idzie tu szczególnie o to, że studenci są słabo przygotowani (10 ocen niedostatecznych wśród pierwszych 61 zdających — to ilościowy wyraz tego stanu rzeczy). Natomiast jedna sprawa wymaga reakcji natychmiastowej. Przekracza ona wąskie ramy problemów fachowych, staje się sprawą dość szerokiego kręgu osób — stąd potrzeba zajęcia się nią publicznie.

Na początek uwaga pozornie z tematem nie związana. W dzisiejszej „Trybunie Ludu" wyczytałem wiadomość następującą: „Popularna gazeta zachodnio - berlińska „B. Z." (koncern Ullsteina) zaczyna dziś swoją czołówkę zagraniczną od następujących słów: — W 12 godzin od publikacji noty radzieckiej ludzie na ulicach Bonn witają się rano nie sakramentalnym „dzień dobry", ale pytaniem: „Czy Adenauer jedzie do Moskwy?"...

Zdziwisz się, czemu cytuję tę wiadomość. Jej treść nie jest szczególnie rewelacyjna. Cóż, nie tylko w Bonn, ale i w Warszawie sprawa noty radzieckiej wywołała wiele zainteresowania, rozbudziła nie tylko ciekawość, ale również nadzieje.

Jaki to ma związek ze sprawami egzaminów? Zanim wyjaśnię — przytoczę kilka autentycznych odpowiedzi udzielanych na egzaminie z podstaw marksizmu - leninizmu. Ograniczam się specjalnie do odpowiedzi na pytania dotyczące spraw bieżących. Problematyka historyczna znana była, aczkolwiek nie bez znacznych luk, w stopniu większym.

Student A. S. na pytanie dotyczące traktatu państwowego z Austrią odpowiada: „W wyniku rozmów moskiewskich zawarto traktat, który przekształca Austrię w państwo demokracji ludowej". Ten sam student zapytany o światowy ruch obrońców pokoju zdradza nieznajomość tekstu Apelu Wiedeńskiego (przy czym nieznajomość ta dotyczy nie spraw drugorzędnych a samej istoty kwestii).

Studentka B. M. zapytana o kraje kolonialne, które wyzwoliły się po II wojnie światowej, potrafi podać tylko jeden przykład... Austrię. Ta sama studentka lokuje Czang Kai-szeka w Południowej Korei.

Szereg studentów po otrzymaniu pytania dotyczącego dzisiejszych form oportunizmu w ruchu robotniczym — milknie natychmiast (chociaż wielu z nich poprawnie przedstawia sprawy oportunizmu sprzed lat pięćdziesięciu). Student Z. P. na takie pytanie wymienia — jako jedyną znaną mu partię prawicowo - socjalistyczną — Labour Party, ale nie jest w stanie wyjaśnić jej roli i w toku wypowiedzi lokuje Churchilla w jej szeregach. Inny jego kolega podejmując ten temat prezentuje napierw dość obszerną, ale niezbyt treściwą relację o zdradzie Labour Party, a następnie nie umie wyjaśnić, kto sprawuje obecnie rządy w Anglii.

Wyjątki? Nic podobnego! W ten sposób odpowiadało około 80 proc. studentów pytanych o bieżące zagadnienia międzynarodowe. Możesz przypuszczać, że ignorancja ta wynagrodzona jest znajomością aktualnych spraw naszego kraju. Muszę niestety to przypuszczenie unicestwić.

Wielu studentów dostało pytania dotyczące III Plenum KC PZPR. Nieliczna mniejszość umiała dać mniej więcej zadowalające wypowiedzi, chociaż i w tych wypadkach ujawniała się dość głęboka ignorancja w dziedzinie toczących się dyskusji politycznych, społeczno-kulturalnych, literackich, artystycznych. Natomiast znaczna większość pytanych nie umiała w ogóle wymienić nawet w jednym zdaniu problemu stanowiącego oś uchwał Plenum.

Nieliczni wręcz przyznawali się do braku wiadomości. Pozostali usiłowali ratować się zgadywaniem. Stąd też biorą się takie np. wypowiedzi: „III Plenum objęło uchwały w dziedzinie zwiększenia wydajności z hektara". „III Plenum zajmowało się budownictwem socjalizmu". A nawet: „Na III Plenum opracowano historię polskiego ruchu robotniczego".

Oszczędzam Ci reszty przykładów.

Myślę, że teraz jasne jest, po co odwołałem się do wiadomości przekazanej przez „Trybunę Ludu". Dziś, gdy polityka dociera do każdego myślącego człowieka, staje się w stopniu dotąd niespotykanym chlebem powszednim mas — razi szczególnie indyferentny stosunek do spraw najważniejszych, aktualnych i dla nas wszystkich żywych.

Nie ma oczywiście uniwersalnej recepty na przełamanie muru ignorancji, który znaczna część młodzieży skonstruowała między sobą a wydarzeniami politycznymi, (piszę „ignorancji" nie zaś „obojętności", gdyż jestem głęboko przekonany, że w tym wypadku mamy do czynienia jedynie z ignorancją. Inna rzecz, że ignorancja zostawiona sama sobie rodzi zobojętnienie). Niemniej warto pomyśleć nad tym, gdzie podziewają się rezultaty zebrań, prasówek itp. form pracy? Gdzie mamy rezultaty licznych gazetek ściennych, „Błyskawic" fotomontaży itp.? O różnych formach pracy masowo - propagandowej na uczelni można sporo złego pomyśleć, słuchając nieporadnych kompozycji na tematy aktualne, prezentowanych przez zdających.

Jest tu miejsce również dla samokrytycznej i krytycznej oceny zajęć dydaktycznych. Że nie potrafią onę sięgnąć w stopniu dostatecznym i w formie właściwej do spraw aktualnych — to rzecz wiadoma, że osławiona „aktualizacja" sprawy tej nie wyczerpuje, co do tego nie może być wątpliwości. Natomiast warto jeszcze raz przypomnieć, że — niezależnie od lepszych, czy gorszych metod wykładania i prowadzenia ćwiczeń — obecny profil zajęć z podstaw marksizmu-leninizmu skutecznie utrudnia przyciągnięcie młodzieży do tej problematyki.

Jak wiadomo, obecnie obowiązujący program opiera zajęcia na historycznym toku wykładu. W ten sposób aż po ostatnie tygodnie drugiego roku student skazany jest na to, że problematyka współczesna docierać do niego będzie jedynie w postaci „aktualizacji". Skutki tej metody prezentują się w cytowanych wyżej wypowiedziach. Nie sądzę wprawdzie, że należy w ogóle zrezygnować z nauczania historii ruchu robotniczego, ale uważam, że sposób nauczania musi być inny. Sądzę mianowicie, że należy odejść od chronologicznej konstrukcji wykładu i przejść do konstrukcji problemowej, która oczywiście bazować będzie na materiale historycznym i na aktualnym. Przykładowo można wskazać, że w ten sposób zagadnienia sojuszu robotniczo-chłopskiego powinny być omówione w jednej serii wykładów, przy czym w ramach tego problemu ukazana byłaby dynamika rozwoju tej kwestii. Projekt nie jest dopracowany. Szkicuję go na marginesie spostrzeżeń, które przekonują mnie, że jeśli nawet nie byłoby dobrze po przyjęciu tej propozycji, to w każdym razie źle jest przy programie obecnym.

Jedno jest pewne: musimy nauczyć młodzież nie tylko i nie tyle sumy faktów, co sztuki patrzenia i widzenia świata. Troska o realizację tego zadania nasunęła te bardzo szkicowe uwagi, które pragną być przyczynkiem do dyskusji.

TADEUSZ STRUMFF

Obrazki i komentarze

rys. J. Ćwiertnia

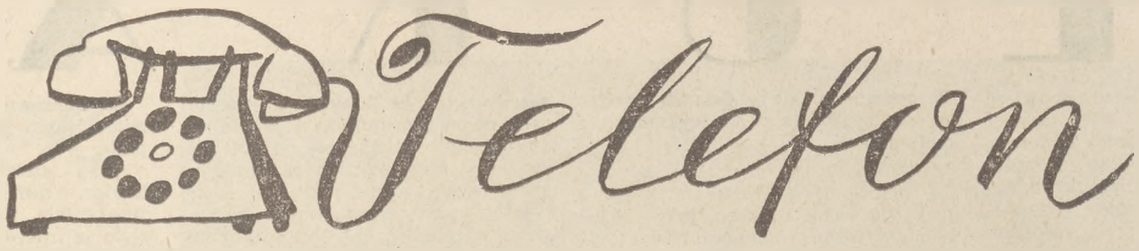

Mrok nie zapadł nagle. To tylko my, zagadani po uszy nie zwróciliśmy uwagi na porę dnia, która po swojemu nie zwróciła uwagi na nas.

Dopiero Przyłucka zawołała z kuchni:

— Dać wam naftówkę?

— Daj! — odkrzyknął Przyłucki, ale ja zaoponowałem:

— Miło tak po ciemku, oczy odpoczną...

Siedzieliśmy ze starym Przyłuckim opodal okna na wygodnych stołkach. Na oknie stała czarna, błyszcząca skrzynka telefonu. Był to telefon często spotykany w terenie i w urzędach pocztowych — bez tarczy numerowej, którą zastępowała korbka.

Właśnie zaterkotał, dziwnie przypominając mi dźwiękiem rechot żaby. Nie odmówiłem sobie dziennikarskiej przyjemności podjęcia słuchawki.

— To Mołcza? — spytał głos po tamtej stronie przewodów.

— Nie — odpowiedziałem — Majerczykówka. Spółdzielnia Produkcyjna w Majerczykówce...

— Nie o was mi chodzi — (znów ten sam głos) — przepraszam.

W tejże chwili usłyszałem nowy głos, dziewczęcy i wesoły:

— Mołcza! Urząd Gminny. Kto dzwoni?

Nie dosłyszałem dalszej wymiany zdań, bo nagle w słuchawce pojawił się mazurek Chopina. Moje oczy musiały błysnąć takim zdumieniem, że mimo mroku Przyłucki dostrzegł i zapytał:

— Co?...

— Gra! — wykrzyknąłem.

Przyłucki się roześmiał.

— Gra — powiedział — nasz telefon zastępuje radio. Łapie Warszawę, jak „Aga". Za miesiąc będzie elektryczność, to i „Agi" będą w Majerczykówce.

Spiker oznajmił wyraźnie:

„Nadaliśmy dwa mazurki Fryderyka Chopina w wykonaniu Barbary Hesse-Bukowskiej". I po chwili: „Tu Warszawa w programie pierwszym. Godzina dziewiętnasta pięćdziesiąt osiem. Za minutę dalszy ciąg programu..."

Odłożyłem słuchawkę i wciąż jak przedtem zdumiony czekałem co powie Przyłucki.

— Nieźle łapie — tłumaczył z uśmiechem. — Falami. A w szczególności po zmierzchu. Trudno rozmawiać. W dzień to jakoś jeszcze, ale teraz...

Jestem z natury odporny na działanie nauk fizyko-matematycznych. Minęła dłuższa chwila nim pojąłem, że druty telefoniczne mogą spełniać rolę anteny, a skoro stacja nadawcza jest blisko, telefon... może... grać... jak radio...

— Posłuchajcie — odezwał się Przyłucki — jaka była z tym grającym telefonem historia. Na początku, wiecie to zresztą, jak tylko powstała spółdzielnia, przewodniczącym wybraliśmy Rogalskiego. Bestia wygadana, sprytna i taka... ruchliwa.

Zaraz w dniu otwarcia sekretarz Komitetu Powiatowego przywiózł telefon, że to niby pierwszy podarek dla Majerczykówki-spółdzielni.

Stanął ten telefon u Rogalskiego. A Rogalski ma jednego syna — Piotrusia. No i zaczęło się! Chłopak chodził wtedy, rok temu, do siódmej klasy, uczył się dobrze, jeszcze w domu pomógł, ale jak dostali telefon to żadną miarą nie mógł Rogalski Piotrusia odpędzić. Szczenię do dwunastej dzień dnia siedziało, aż się te... audycje kończyły. Ech, i bicie było i krzyki i awantury — a Piotruś cięgiem przy telefonie.

...Pod koniec roku zaczęło się w spółdzielni źle dziać. Co długo rozwodzić — Rogalski rozkładał spółdzielnię. Jeszcze jakżeśmy go wyrzucali, to na jaw wyszły sprawy z okupacji, z Niemcami — z dyrektorami pogwarki, a to a tamto. Wróg wylazł z Rogalskiego aż trzeszczało.

Cud boski, żeśmy Majerczykówkę z powrotem doprowadzili do ładu. Ludzi drań pozniechęcał, sam do roboty nie wychodził — no co tam mówić — pewno wam ludzie dosyć nagadali.

Jak mnie wybrali przewodniczącym, to telefon stanął tu (domyśliłem się, że Przyłucki wskazał na okno). Śpimy jak wiecie — mówił dalej — w tamtym pokoju. Jednej nocy budzę się nagle i jakiś szum słyszę w mieszkaniu. Rusza się co, k i c z o r t?

Wstałem na palcach, noc czarna jak sądza, przychodzę tu, do tego pokoju — ktoś stoi albo siedzi przy oknie. Łap ręką — a wtedy pisk: „Ojjj!". Stara wstała, trzymam t e g o za ramię, a starej każę lampę palić.

No co — domyślacie się? Piotruś był, pewno ze on. Ale bał się, Boże święty. „Ojcu nie mówcie, ja tylko na chwilę, posłuchać trochę. Wcześniej nie mogę, bo ojciec zakazał do was przychodzić..."

— To ty, Piotruś, do muzyki taki skory?

— Ja bym chciał się uczyć, ale ojciec nigdzie nie da iść.

Puściłem chłopaka. A na drugi dzień było zebranie zarządu, więc mówię co i jak. Uchwaliliśmy, że jak Piotruś skończy siedem klas, to pójdzie na szkołę muzyczną. Teraz lżej spółdzielni, to możemy sobie pozwolić. Jak wróci — będzie nam grał.

Przyłucki znowu się roześmiał.

Spytałem:

— A Rogalski nie bronił?

— Początkiem nie chciał, ale go potem przekonali. To wreszcie mówi: „Dziady płacą nie ja. Niechszczeniak jedzie". „Dziady" — to niby my, spółdzielnia, rozumiecie?

Z kolei ja się roześmiałem.

Przyłucka zawołała z kuchni:

— Dać już t e kolację?

— Dawaj, żoneczko! — powiedział Przyłucki w nagłym porywie lirycznym.

Wziąłem z widełek słuchawkę.

„Po wiadomościach dziennika wieczornego — zapowiadał spiker — nadawać będziemy muzykę rozrywkową."

Ponownie się roześmiałem, tym razem całkiem głośno.

— Co tam? — spytał Przyłucki — s k i c z nadają?

— E, nie. Ja tylko tak do siebie.

A wiecie, com sobie pomyślał? Że może kiedyś tak zapowiedzą przez radio: „Nadamy mazurki Fryderyka Chopina. Wykonawcą będzie Piotr Rogalski, który uczył się muzyki na koszt spółdzielni produkcyjnej Majerczykówka".

Były to śmieszne myśli, bo przecież nikt tak przez radio nie zapowiada.

Pewien redaktor, odrzucając powyższy obrazek, napisał na marginesie: „Dlaczego tym nowoczesnym Jankiem Muzykantem jest syn wroga klasowego?". Było to półtora roku temu. Sporo się od tego czasu zmieniło w redakcjach.

Ważniejsze jest jednak to, że ciągle zmienia się nasze życie: sekciarstwo rwiemy z korzeniami. Myślę, że kiedy ostro krytykuje się niektórych „personalników" za sekciarski, „ankietowy" stosunek do człowieka — to zwycięstwo odnosi Przyłucki z mego obrazka, a nie wspomniany redaktor.

Nowoczesny hotel robotniczy zbudowało przedsiębiorstwo w samym centrum porastającego blokami osiedla. Idzie się do hotelu wśród szmaragdowych skwerów, beżowych alejek i szarych a skromnych ławeczek.

Tutaj, przy ul. Parkowej, mieszka nie mniej niż dwieście i nie więcej niż trzysta kobiet — murarek, cieśli, inżynierów, dźwigowych. Nowe „właścicielki" hotelu ożywiły jasny dom wesołym śpiewem, kolorową gamą rozmaitych polskich gwar i tym szczególnym urokiem, który towarzyszy kobietom, choćby ubranym w murarskie kombinezony, ziejące odorem wapna, potu i smaru.

Znałem hotel na Parkowej, ponieważ zachodziłem tam czasem do mojej matki, dawnej łódzkiej prządki, która jest teraz kierowniczką tego hotelu. Kłopotów ma moja dobra, stara mama co niemiara. Ale uśmiecha się częściej niż dawniej, powiada, że jej praca daje wyniki, a gdy późnym wieczorem kładzie się spać, raz jeszcze mówi do mnie:

— Chciałam, synku, zawsze marzyłam o takich dwustu córach...

Mieszkanki hotelu są to przeważnie dziewczęta ze wsi. Poznałem bliżej dwie z nich: Adelę o białych włosach i brwiach i Monikę z rękami nieproporcjonalnie długimi wobec reszty korpusu. Obie — Adela i Monika — przyjechały do Warszawy z takich zapadłych wiosek, w jakich istnienie nie wierzą zardzewiali obywatele miast. Obie — Adela i Monika — mają na sumieniu 6 klas szkoły podstawowej, pierwszą komunię i kto wie czy nie pierwsze pocałunki. Obie — Adela i Monika — pracują na kobiecej budowie, murują, uczą się nowych zawodów, zwolnione przez pewien traktor nazwiskiem „Zetor" — od zajęć w polu, na które trzeba teraz mniej rąk, a więcej maszyn. Takich jak moje dwie znajome, o równie prostych życiorysach mieszka w hotelu pewnie sto pięćdziesiąt, jeżeli nie więcej...

...I otóż zdarzyło się, że moja z dnia na dzień weselsza matuchna wróciła z hotelu smutna, a po czerwonych, obrzmiałych spojówkach poznałem, że płakała.

To właśnie usłyszałem od niej wtedy:

— Mówiłam ci tydzień temu o łaźni, którą kończyli dla moich dziewcząt. Ileż się nałaziłam, natelefonowałam do Zarządu, do przedsiębiorstwa, do samego Komitetu Warszawskiego, byle przyśpieszyli wykończenie łaźni. Tak mi zależało na tym, synku, no bo zrozum: dziewczęta wracają z roboty obłocone, zapocone, zakurzone, a tu tylko niewygodne umywalnie.

No i wczoraj skończyli. Musisz przyjść, zobaczyć sam jak cudownie. Ściany wyłożone seledynowymi płytkami, prysznice srebrniutkie, posadzka gładka, polerowana, a pomieszczenie wielkie — pięćdziesiąt dziewcząt może się kąpać jednocześnie.

Dziś było otwarcie łaźni. Dziewczęta przyszły z roboty, a ja je witam od razu przy drzwiach: „Panienki — bierzcie ręczniki, mydła, normalne sukienki i na dół. Niespodzianka!"

Ani jeden prysznic się nie zaciął. Ciepły deszczyk mżył aż miło, no, nie masz pojęcia jak dobrze, kiedy cały brud roboczy spływa z człowieka, a ciało, młode ciało moich pannic paruje i odżywa na nowo. Dziewczęta chichotały jak szalone, cieszyły się, śpiewały pod prysznicem, aż im woda do ust naciekała. Ta łaźnia — myślę sobie — więcej mi pomoże od wszystkich przemówień higienicznych... —

Moja matka zamilkła nagle i w oczach jej pokazały się ziarenka łez (moja matka w ogóle łatwo się wzrusza).

— Wychodzę z łaźni — mówiła dalej, już przez łzy — a tu na korytarzu, przy głównym wejściu, wiesz, stoi z pięćdziesiąt dziewczynek i ględzą sobie w grupkach o czymś tam.

„Panny! — wołam do nich — Szykować się! Na co czekacie? Pierwsza partia już wymyta!"

One nic: nie widzą mnie, nie słyszą, a tymczasem tamte dziewczynki — czyściutkie, przebrane, wracają do pokojów.

„Panienki! No co z wami? Ruszajcie się!"

One znów nic — pierwszy raz tak się do mnie odniosły.

„Czego chcecie, dziewczynki? O co wam chodzi?"

Wtedy... Wtedy jedna, Monika, ty ją przecież znasz synku, mówi do mnie:

„Proszę nas nie zmuszać, nie chcemy iść do łaźni."

„Jak to? Do łaźni... nie chcecie... iść?"

„Nie".

„Ale dlaczego? No, powiedzcie dlaczego?"

„Bo to obraza boska. Tak nago koło siebie stać i pokazywać sobie wszystko..."

„Ale przecież w łaźni nie ma chłopców!"

„No i co? Nie o chłopców nam chodzi, ale o nas".

Kiedy myśmy rozmawiały, tamte wszystkie głowy spuściły i nic, ani słowa.

Matka moja spojrzała na mnie w jakiś szczególny, mocny sposób.

— Duży już synku jesteś, wiele rzeczy rozumiesz. Toż i ojciec i ja robotnicy jesteśmy i z prostymi ludźmi potrafimy się domówić. Ale dziś... Dziś ja nie znalazłam słów. Bo i jak, no powiedz sam, jak było mówić: o higienie, o dobrodziejstwie takich urządzeń? Wiedziałam, że ani jeden z tych dowodów nie przemówi im do rozumu... No i nie poszły dziś się kąpać.

Matka pomilczała chwilę, łzy ciekły jej po policzku. Cóż mogłem wtedy zrobić, prócz tego jednego: pocałowałem moją matuchnę w rękę.

I nie wiem, co dalej było z łaźnią w hotelu na Parkowej, bo wkrótce wyjechałem z domu na dłuższy okres, a listy od matki są krótkie i dotyczą tylko domowych spraw.

Obrazek powyższy czytałem wielu znajomym, a raz zdarzyło mi się odczytać „Łaźnię" na wieczorku literackim w szkole ZG ZMP, gdzie słuchaczami było kilkudziesięciu wiceprzewodniczących Zarządów Powiatowych Związku.

W dyskusji uczestnicy „wieczorku" chwalili „Łaźnię", podkreślając, że „autorowi udało się uchwycić typowy wypadek ciemnoty i zabobonu". Przytaczano podobne w swej istocie fakty, z których każdy mógłby się stać tematem nowego obrazka.

Ale wszyscy dyskutanci stawiali zgodnie jeden zarzut: „Autor nie pokazał drogi wyjścia. Jakimi metodami zwalczać podobne wypadki? Co robić?"

Oczywiście, nie potrafiłem na to dać odpowiedzi.

Niedawno byłem w hotelu robotniczym — tym z „Łaźni". Wiele się zmieniło — na korzyść. „Problem pryszniców" jest problemem historycznym — kierowniczka wspomina o nim z uśmiechem.

Myślę, że przełamanie ciemnoty wiejskich dziewcząt zawdzięczać trzeba — między innymi — cierpliwości kierowniczki. Myślę, że nijakie, pesymistyczne zakończenie mego „obrazka" było fałszywe i należy do rzędu często spotykanych — pochopnych, pesymistycznych, wynikających z subiektywnego nastroju ocen.

Aby wyjaśnić opóźnienie pociągu pośpiesznego Nr. 1613 na trasie Warszawa — Kraków, dnia... czerwca, trzeba opowiedzieć poniższą historię.

W Sędziszowie wróciłem z wagonu restauracyjnego do swego przedziału w pierwszym pulmanie za parowozem. Siedząc przy otwartym oknie, przez które sączył się ciepły, letni wiatr, obserwowałem ubogi krajobraz Kielecczyzny — owe jednostajnie grafitowe pola, nędzne chałupiny, kreski dróg i miedz, owe pagórki z rzadka rozsiane i laski z czterema drzewami na krzyż. Obserwacje szybko mnie znudziły i właśnie zabrałem się do lektury Tołstoja, kiedy wszedł konduktor i oznajmił:

— Proszę zamknąć okno, będzie tunel.

Nim zdążyłem wypełnić wskazówkę, pociąg szarpnął gwałtownie i zaraz stanął. Te ruchy wagonu odrzuciły mnie ku ścianie, skutkiem czego rozbiłem sobie głowę. Pomyślałem, że ktoś pociągnął „Notbremse" — tylko w tym wypadku pociąg zatrzymuje się tak efektownie.

Wyjrzałem oknem i zobaczyłem, że po szczeblach drabinki lokomotywy schodzi maszynista, człowiek starszy, z wiechciem rudych wąsów pod długim, prostym nosem. Schodził, jak się zdawało, śpiesznie, a twarz miał wykrzywioną nienaturalnym grymasem, który u jednych może oznaczać uśmiech, u innych — przerażenie lub szyderstwo.

Pewien, że stało się coś złego, wybiegłem z przedziału i za moment — z wagonu. Ku maszyniście biegło już wzdłuż pociągu dwóch konduktorów.

— Co? — krzyczeli z daleka.

Maszynista zwrócił twarz w moją stronę ale wiedziałem, że mnie nie widzi. Było to jedno z tych spojrzeń dalekich, zawartych w sobie czy w jakiejś nieodgadnionej dali.

— Nie pojadę — powiedział nagle do nas, a przecież do siebie. — Przed tunelem była jakaś biała postać... Rozkrzyżowała ręce... Nie kazała jechać... Nie pojadę..

Widziałem jak obaj konduktorzy patrzą po sobie, jak milczą wymownie, wierząc w każde słowo maszynisty. Wysoko, w kabinie parowozu stał młody palacz, milcząc, ze stężałą w napięciu twarzą.

— Pójdźcie... — powiedział maszynista — Zobaczcie... co tam. Inaczej — nie pojadę...

Nie wtrąciłbym się szanując nawet zabobony tych ludzi ciężkiej pracy, ale konduktorzy nie ruszali się z miejsca niby zamknięte semafory wrośnięte w ten grunt.

— Pójdę z wami — powiedziałem. — Zaczekajcie, mam w przedziale latarkę...

Gdy wróciłem z tym przedmiotem podręcznego użytku, konduktorzy byli też zaopatrzeni w kwadratowe kolejarskie lampy. Z wszystkich okien wychylali się pasażerowie. Poszliśmy.

W tunelu był chłód dojmujący i mrok — choć oko wykol. Niosły się głuchym echem nasze kroki, latarnie rzucały blade snopki żółtego światła. Tunel za Sędziszowem jest długi. Mijały minuty marszu. Nagle usłyszeliśmy ciche, cienkie odgłosy niby miauczenie kota. Moi towarzysze stanęli.

— Chodźcie — powiedziałem — nie trzeba się bać. Nie wolno się bać — dodałem z naciskiem, ale wierzcie mi: był to nacisk udany.

Wolniej i ostrożniej posuwaliśmy się naprzód, a w miarę naszej drogi miauczenie — tak, najwyraźniej miauczenie! — narastało.

Wreszcie zobaczyliśmy przed sobą na torze biały pakunek. Było to płótno, płótno, w którym zawinięte i związane grubym szpagatem jęczały cienko dwa maleńkie ciałka dzieci, które, sądząc po karzełkowatych, nagich główkach mogły przyjść na świat dziś rano, najdalej w nocy.

Maszynistę zastaliśmy w tym samym miejscu, w którym stał, kiedy wchodziliśmy do tunelu. Teraz otaczała go grupka ciekawych pasażerów o oczach tak wybałuszonych, że od razu znać było: maszynista nic im nie mówił.

Kiedy dostrzegł białe zawiniątko na rękach jednego z konduktorów, powiedział:

— Więc jednak o n a miała rację...

I zaczął wstępować po drabince parowozu.

— Proszę zaczekać chwilę — poprosiłem go. I wszedłem na nasyp, gdzie zielona murawa leżała jak okiem sięgnąć niby miękki perski dywan. Było cicho i pusto.

Odwróciłem się: na nasypie po drugiej stronie torów wschodziła żółta pszenica, sięgająca już bioder mężczyzny średniego wzrostu. Zbiegłem ku pociągowi, poprosiłem maszynistę o jeszcze chwilę cierpliwości i znów znalazłem się na nasypie, przed ścianą pszeniczną.

Był w niej wyłom, kłosy na połamanych prętach lgnęły do ziemi. Ta nienaturalna drożyna wiodła w głąb pola. Po kilkunastu metrach zobaczyłem leżącą na ziemi postać kobiety w letniej perkalikowej sukience.

rys. J. Ćwiertnia

Kobieta była bosa, miała okrwawione stopy, twarz zwróconą ku ziemi, pukle ciemnych włosów rozrzucone na zgniecionej pszenicy.

— Niech pani wstanie! — powiedziałem głośno — proszę wstać.

Nie drgnęła. Wziąłem ją za ramiona, uniosłem. Oczy miała zamknięte — spała, czy straciła zmysły...

Po paru miesiącach dowiedziałem się z głośnego procesu, że człowiek, z którym miała bliźnięta, okłamał ją przyrzekając małżeństwo. Był żonaty, miał swoje dzieci. Nie wiedziała o tym nic aż do piątego dnia przed porodem.

Ten niewielki obrazek napsuł mi sporo krwi, skoro tylko zechciałem go wydrukować w pewnym dodatku literackim.

Przyjaciele — redaktorzy podzielili się na dwie partie: „drukować" — „odrzucić". Burza w szklance wody trwała parę tygodni. Oczywiście, nieuprzedzony czytelnik łatwo pojmie zamierzoną myśl obrazka: nie ma cudów, nie wierzcie w nie! Są zbiegi okoliczności pozornie dziwaczne, trzeba sprawę badać aż do wyjaśnienia.

„Wielkie oczy strachu" poszły na koniec do druku, ale... w tej ostatniej fazie „zwycięstwo" odnieśli przeciwnicy. Redaktor odpowiedzialny zdjął „Wielkie oczy..." z kolumny, w ostatniej chwili.

Motywy: „Opowiadanie mętniackie. Metafizyka. Czytelnik nie zrozumie, etc".

Zdarzył się niedawno znany warszawiakom wypadek: na jednym z dworców kolejowych wpadł pod pociąg nieostrożny student. Ktoś puścił pogłoskę, że na murze obok miejsca wypadku pojawia się... cień zabitego. Dość tłumnie szli ludzie oglądać... mur. Niektórzy nawet... widzieli c o ś. Powiecie: bzdura, ciemnota, średniowiecze. A jednak chodzono oglądać, a jednak tracono czas i... pieniądze na peronówki...

Miałem potem ostrą dyskusję z pewnym studentem, który t a m był i chociaż lojalnie przyznał, że żadnego cienia nie widział, to jednak twierdził, że t a k i e r z e c z y są możliwe. Powoływał się na cuda przedstawiane w historii kościoła.

I oto jesteśmy u źródła dwóch zasadniczych postaw światopoglądowych:

1. T a k i e r z e c z y są możliwe.

2. T a k i e r z e c z y są niemożliwe.

W każdym konkretnym wypadku trzeba szukać do końca racjonalnych przyczyn. Niegdyś uważano, że zjawisko pioruna jest c u d o w n e...

Nie potrzeba wyjaśniać, jakie praktyczne (często polityczne) konsekwencje płyną z tych postaw.

Warto się chyba bić o świadomość narratora z „Wielkich oczu..." przeciw świadomości maszynisty.

Myślę, że sfera „zjawisk" poruszona w moim obrazku jest z jednej strony bardzo ważna, a z drugiej — często i tchórzliwie pomijana.

Jeśli chodzi o trzy obrazki, które pozwoliłem sobie przedstawić Wam powyżej — to najbardziej jestem ciekaw, co myślicie o „Wielkich oczach strachu"?

Ładunek wzruszenia „Intrygi i miłości"

Tegoroczni absolwenci Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej im. Ludwika Solskiego w Krakowie pokazali jako jedną ze swoich prac dyplomowych — „Intrygę i miłość" Fryderyka Schillera. Uczcili tym pięknie Rok Schillerowski, w którym porywającą postać zmarłego przed 150 laty wielkiego niemieckiego poety zbliżamy do naszych dni. Ale nie tylko o to tu chodziło. Grupa młodych aktorów opuszczająca obecnie krakowską szkołę — zarówno przez śmiały wybór tej pozycji repertuarowej, jak i przez sposób jej realizacji, dała wyraz ambitnym tendencjom i dążeniom, które ją nurtowały w czasie trudnej pracy sposobienia się do aktorskiego zawodu.

Na niedawnym łódzkim zjeździe kół naukowych naszych uczelni teatralnych krakowska PWSA zaprezentowała dorobek najbardziej żywy. Jerzy Grotowski — asystent reżysera przy przedstawieniu „Intrygi" — przedstawił wtedy w imieniu krakowskich kolegów koncepcję teatru „wielkich uczuć", będącą wyrazem jakiegoś żywego ducha poszukiwań, kształtowania własnego spojrzenia na sztukę teatru. Nadszedł czas publicznego pokazania dyplomowych warsztatów, czas publicznego egzaminu. Rezultat ideowy i artystyczny osiągnięty w spektaklu „Intrygi i miłości" wystawia myślom i dążeniom krakowskich kolegów piękne świadectwo. Chodzi oczywiście o główny nurt tych myśli, o zasadniczą tendencję, a nie szczegółowe sformułowania, być może naiwne niekiedy i nie zawsze precyzyjne.

Szkolne eksperymentalne przedstawienie dramatu Schillera grane było na scenie Starego Teatru 68 razy i cieszyło się wielkim powodzeniem „normalnej" publiczności teatralnej Krakowa. Ostatni spektakl szedł przy komplecie na widowni. Te fakty coś mówią — krakowscy widzowie są wyrobieni i wybredni!

Utarła się opinia, że omawianie szkolnych przedstawień tak, jakby to były przedstawienia normalnego teatru, jest niewłaściwe i krzywdzące. Wydaje mi się, że jeżeli praca warsztatowa wnosi wartości, które ją pretendują do takiego potraktowania, to jest ono dla młodych twórców jedynie tytułem do chluby. I nie zapominając, rzecz prosta, że mamy do czynienia z przedstawieniem uczelni aktorskiej, warto wydobyć te jego osiągnięcia, które są twórczym wkładem do dyskusji nad sposobem współczesnej realizacji scenicznej dzieł Fryderyka Schillera.

Młodzi absolwenci PWSA udźwignęli „Intrygę i miłość". Więcej: nadali tej trudnej przecież pozycji — pod kierunkiem reżyserskim prof. Władysława Krzemińskiego — wyraz bardziej jednolity, zwarty i mocny niż w niejednej inscenizacji tego dramatu Schillera na naszych scenach.

A grano „Intrygę i miłość" w ostatnim okresie dość często. Chodzi mi o ogólny, całościowy, ostateczny rezultat spektaklu, a nie o rozwiązania poszczególnych scen, o bogactwo i kunszt kreacji aktorskich. Chodzi o oddziałanie przedstawieniem na widza, o siłę wzruszenia — a więc o rezultat ideowy.

Osiągnięcie nie jest przypadkowe, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze — z powodu ideału teatru, jaki wychowankowie krakowskiej szkoły ukształtowali w sobie. Po drugie — z przyczyny natury ogólniejszej, z dość specjalnej sytuacji w jakiej znajdują się dziś utwory Schillera zwłaszcza te pierwsze, młodzieńcze. Ich idee, ich myśli i uczucia wtedy tylko dotrą w pełni do współczesnego widza i będą miały walor aktualności i życia, kiedy zagra się je z pełną wiarą w wypowiadane słowa, z absolutną szczerością, entuzjazmem i żarem.

Tak zagrać Schillera nie jest zadaniem prostym. Niezmiernie łatwo wpaść tu w stylizację, która rodzi dystans i „historyczność" — te zaś przynoszą chłód. Stylizacja czyni Schillera zimnym — jest zabójcza dla twórcy „Zbójców", tak żywo i gorąco przemawiającego w lekturze. Dlatego też wydaje mi się, że z natury rzeczy — Schillera, właśnie Schillera łatwiej jest zagrać młodym, świeżym, surowym jeszcze zespołom, łatwiej im jest porwać nas rewolucyjnym wichrem jego dzieł i poruszyć siłą uczuć. Tych „wielkich uczuć", wielkich przeżyć, których żądał od teatru kolega Grotowski.

Władysław Krzemiński wraz ze swymi młodymi asystentami (Haliną Dobrowolską, grającą jednocześnie rolę Lady Milford i Jerzym Grotowskim) dokonali dość radykalnego, ale udanego opracowania tekstu tragedii. To daleko idące opracowanie tekstu ściśle związane z koncepcją przedstawienia, bardzo „uwspółcześniło" dramat Schillera, stonowało akcenty melodramatyczne i partie mogące nas dziś trochę śmieszyć lub razić wybujałą afektacją.

„Intryga i miłość" jest utworem znakomicie zbudowanym. Opracowanie, o którym mowa, obnażyło tę zachwycającą konstrukcję i świetnie wydobyło akcję „Intrygi i miłości". A o wymowie „Intrygi" decyduje „poetyka ‚akcji". Oparcie się na akcji — zbudowanie na scenie prostej, logicznej, ogromnie zwartej akcji oraz nadanie jej węzłowym momentom mocnego dramatycznego wyrazu — zadecydowało o sukcesie przedstawienia jako całości.

Wykonawcy pamiętali przez cały czas kształtowania owej akcji o celu, jaki mają osiągnąć — wydobyć z dramatu jak największy ładunek wzruszenia i przekazać go widowni. Nie istniało dla nich nic, co by skupiało uwagę poza akcją, żadne obyczajowe czy „bytowe" szczegóły. Akcja rozwijała się w maksymalnie skromnych i oszczędnych ramach, na brązowych kotarach, przy użyciu najniezbędniejszych tylko sprzętów i rekwizytów (scenografię i dobrze „grające" kostiumy opracował Jerzy Jeleński z krakowskiej ASP).

Nie należy oczywiście twierdzić, że tylko tak można wystawiać „Intrygę i miłość", aby sugestywnie przekazać jej ideę. Ujęcie takie jest eksperymentem. W każdym razie prawda ludzkich uczuć i przeżyć jest tu podana pierwszoplanowo i czysto. W syntetycznym skrócie odsłania się istota znieprawionego i podłego świata, w którym żyją Ferdynand i Luiza, świata, w którym absolutnie o wszystkim decydują łajdackie prawa dworskiego awansu, w którym prawa te — jak sformułował to Edward Csato — mogą zranić do śmierci ludzkie serce. Pokazanie tego świata, obudzenie przeciw niemu buntu i protestu — to istota schillerowskiej tragedii, jej walczący i polityczny sens.

Drugi akt kończy się jedną z najmocniejszych scen „Intrygi i miłości" — chwilowym zwycięstwem Ferdynanda nad ojcem, zwycięstwem najpiękniejszego z ludzkich uczuć nad wszystkimi siłami usiłującymi je zniszczyć i podeptać w imię dworskich rozgrywek i koterii. Ten moment dramatu otrzymał mocny wyraz przede wszystkim dzięki grze Ferdynanda — Janusza Sykutery. Młody wykonawca pięknie stopniował emocjonalny podkład wielkiej rozgrywki z Prezydentem, aż do kulminacyjnego, decydującego okrzyku: „Prowadźcie ją pod pręgierz, ja tymczasem rozpowiem po całym mieście — w jaki sposób zostałeś prezydentem!" Następna scena to ułożenie planu intrygi, tym razem już niezawodnej, prowadzącej w prostej linii do tragicznego finału.

Spektakl toczy się bardzo wartko, może zbyt wartko. To trochę za szybkie tempo jest zresztą wytłumaczalne — wynika zapewne ze zrozumiałej surowości środków aktorskiego wyrazu, z niedojrzałości technicznej, z niebogatego jeszcze i niegłębokiego często rysunku postaci. Te cechy ząbkującego dopiero aktorstwa najmniej dotykają Luizy i Ferdynanda. Zwłaszcza Luizy. Luiza i Ferdynand mają największą zasługę w tym, że ów potężny ładunek wzruszenia wydobyty jest z dramatu Schillera tak mocno i bezpośrednio. Luiza Miller — Marii Ciesielskiej była najpiękniejszym, najdojrzalszym osiągnięciem tej młodzieńczej „Intrygi i miłości". W czym tkwił niezwykły urok jej gry? W prostocie i głębi przeżycia popartej dużą sprawnością środków aktorskich. Ta Luiza nie ma prawie nic z „literackości", nic ze „stylowości". Mogłaby być współczesną dziewczyną, dotkniętą wielkim nieszczęściem.

„Intryga i miłość", jak cały zresztą repertuar romantyczny, jest aktorsko bardzo trudna. Tym bardziej, jeśli wszystkie role muszą być obsadzone przez młodzież: Ciesielska i Sykutera mieli zadania o tyle ułatwione, że grali młodych bohaterów. Trudno jest jednak młodziutkiemu aktorowi czy aktorce grać starego Millera, jego żonę, Prezydenta, Wurma czy nawet Lady Milford. Podziwiałem zresztą Tadeusza Krasnodębskiego, który bardzo taktownie i dyskretnie dźwigał rolę ojca Luizy. Z powodzeniem wybrnęli ze swych trudnych zadań Halina Dobrowolska (Lady Milford), Jerzy Bączek (Prezydent Walter). Z Wurmem Andrzeja Gazdeczki i von Kalben Jana Mayzela dyskutowałbym co do stopnia zewnętrznej jaskrawości tych postaci. Ale to rzecz gustu. Obaj wykonawcy zaprezentowali ciekawą robotę i sprawne władanie środkami aktorskimi.

ANDRZEJ WŁADYSŁAW KRAL

MAREK HŁASKO

Podróż do kresu szmiry

(List szaleńca do redaktora POPROSTU)

Towarzyszu Redaktorze! Znacie mnie — jestem człowiekiem spokojnym, trunkowym — lecz w miarę; zgubnym namiętnościom nie ulegam, pożyczki oddaję w terminie, żony nie zdradzam, egzystencjalistycznych ciągotek nie odczuwam, w dzieciństwie nie uległem żadnemu nieszczęśliwemu wypadkowi, który mógłby odbić się potem na moim umyśle — a mimo to popełniłem czyn straszny. Pogryzłem sześć osób, w tym jednego kapitana marynarki, jednego inwalidę (60 proc.) i jednego starszego, siwego pana, który podczas wgryzania mu się w rękę — bił mnie po głowie pamiątkową papierośnicą, powtarzając: „A kysz! a kysz!". Przez czterdzieści osiem godzin siedziałem w komisariacie z pewnym szaleńcem, który wypatroszył swoją babunię tylko dlatego, że ta fałszowała narodowe tango Polaków pt. „Pierwszy siwy włos". Rozmawiało ze mną trzech psychiatrów i jeden neurolog. Wypuszczono mnie w końcu na wolność. Jeśli interesuje Was moja tragedia — pozwólcie, oto kilka słów.

Towarzyszu Redaktorze! Człowiek — że tak powiem — żądny jest rozrywki. Godziwa rozrywka nie jest rzeczą złą; można się o tym przekonać popatrzywszy choćby na publiczność w naszych teatrach satyryków wybuchającą od czasu do czasu cmentarnym śmiechem. Zrozumiałe jest to, że nasi ludzie, którzy ciężko pracują, chcą się od czasu do czasu zabawić, pójść do teatru, do kina, do cyrku czy nocnego lokalu. I właśnie tam — towarzyszu Redaktorze — zdarzyło się to, o czym pisałem Wam powyżej.

Pewnego dnia czułem się bardzo zmęczony i głodny. Było późno — coś około godziny 23. Zapragnąłem przejść się po mieście, przewietrzyć i zjeść coś przy tej okazji. Mieszkam na Pradze, udałem się wobec tego do lokalu „Oaza", który mieści się przy ulicy Targowej. Na ulicy było już pusto, ruch zamierał, miasto spokojniało. Do „Oazy" doszedłem spokojnie i nic szczególnego nie przydarzyło mi się po drodze — bo o tym, że parę razy zaczepiali mnie chuligani, dwa razy pijani i raz grupka pewnych panów, którzy zaświecili mi ślepą latarką w oczy ze słowami: „To ten? — Nie, to nie ten. Tamten był kindziorowaty, idź pan dalej" — nie ma chyba co wspominać. To doprawdy drobiazg; warszawiacy są narodem żywiołowym.

Nie dostałem się jednak do „Oazy", w „Oazie" wrzało, „Oaza" była żarliwa i lepka od pijaństwa, w „Oazie" człowiek trzeźwy faktem swego istnienia popełniał nieprzyzwoitość. Stłamszone pary tłoczyły się na parkiecie, rozlegały się wycia i krzyki entuzjazmu; odchodzono w sedesy po to tylko, aby powrócić i zacząć od nowa to, co w języku naszego narodu nazywa się z a b a w ą, a co w języku każdego innego narodu nazywa się mordownią, usiłowaniem popełnienia zbiorowego samobójstwa, psychozą, drgawkami przedśmiertnymi itd. „Nie — pomyślałem — mam temperament żaby. Gorąca temperatura „Oazy" zbyt mnie podnieca. Lepiej będzie jeśli odejdę stąd nie psując swoją ponurą twarzą tej oto żywiołowej zabawy". I odszedłem, towarzyszu Redaktorze.

Pojechałem do „Bristolu". W „Bristolu" było normalnie, to znaczy nie było nic, bo salę zajęli zagraniczni goście. Trudno — pomyślałem. I poszedłem dalej — do „Kameralnej".

Przed „Kameralną" stała grupka ludzi wyjąc: „Otworzyć! Otworzyć!" Drzwi jednak pozostawały zamknięte; ktoś proponował, aby je wyważyć i do tego celu użyć małego staruszka z olbrzymią głową (przy czym głowa miała odgrywać rolę taranu), lecz staruszek zaprotestował przeciw temu uderzając projektodawcę pięścią między oczy i kwestionując jego legalne przyjście na świat. Ponieważ nie było pod ręką dynamitu ani nitrogliceryny — kopano i walono w drzwi pięściami w dalszym ciągu wołając o litość, stolik, miejsce przy bufecie itd. Nagle drzwi otworzyły się; wyleciał przez nie człowiek, przy czym szybkość, z jaką przebywał przestrzeń, niezbicie wskazywała na to, że wchodził tu w grę tzw. czynnik ruchu przyśpieszonego. Za nim — w tenże sposób — opuściło lokal kilka innych osób i pozbierawszy się po drugiej stronie ulicy Foksal ruszyli w dalszą drogę.

W tym czasie przy drzwiach rozgrywało się coś, wobec czego „Bitwa pod Grunwaldem" mistrza Jana Matejki wydawała się być zabawą dla dzieci pozbawionych fantazji. Kopano i gryziono, ćwiartowano się wzajemnie i pożerano; słychać było trzask łamanych kości, jęki konających i wołania o litość; powietrze nocy zapachniało mordem. W tym samotnym pojedynku zwyciężył jednak portier; drzwi zatrzaśnięto ucinając nimi niby gilotyną olbrzymią głowę owego krwistego staruszka. Trzeba było iść dalej. Poszedłem do „Stolicy". Jeszcze raz podkreślam, że chciałem tylko zjeść kolację i przez godzinę posłuchać muzyki.

Nie będę Wam już opisywać tego jak usiłowano mnie zlinczować na rogu Nowego Światu; nie będę opisywać Wam tego, jak zagapiłem się i poszedłem ulicą Chmielną, bo nie ma to zbyt wiele wspólnego z koszmarem, jaki przeżyłem później. Zresztą, jak wiecie, niewiele zmieniło się na ulicy Chmielnej w stosunku do roku przypuśćmy 39. Wtedy na ulicy Chmielnej mówiono: „Chodź, chłopczyku, powiem ci coś", podczas gdy dzisiaj używany jest zwrot: „Obywatelu, pozwólcie: postawię wam tezę". Mniejsza z tym. Doszedłem przecież w końcu do „Stolicy". I danym było mi zaznać, że opowieści o włosach stających na głowie nie są pozbawione jądra realizmu.

Najpierw wyszedł magik. Magik był smutny i blady; miał twarz uduchowionego intelektualisty z Piotrkowa, który chciałby obwieścić światu jego tragiczny koniec, nie jest jednak pewien daty. Magik pokazywał sztuczki z gołębiami, z myszami, królikami i cylindrem; wyjmował pudełka i flaszki, robił przykre, błazeńskie miny; pokazywał sztuczki, na widok których uśmiechnąłby się z pobłażaniem 5-letni dzieciak. Potem wyszedł drugi magik i czarowali publiczność we dwójkę. Potem wyszła pani o budowie Zbyszka Cyganiewicza i odśpiewała slow-foxa: „Ja jestem taka mała", po nim — przebój mistrza Fogga pt. „Tamara". Jest to, towarzyszu Redaktorze — jak niezbicie wynika z treści — hymn TPPR na szczeblu, że się tak wyrażę, lirycznym. Potem były brawa i myślałem, że nastąpi już koniec. Lecz długa jest droga męki ludzkiej. Był jeszcze chór rewelersów: jak Wam wiadomo, głównym elementem śpiewu rewelersów jest subtelne miauczenie, z cicha wycie. Przy „Marynice" improwizowanej z powagą pogrzebowego marsza — wyszedłem. W oczach moich czaiły się już wtedy ponure błyski.

Lecz człowiek jest mocny; potęga jego hartuje się w klęskach. Poszedłem „Pod kandelabry"; byłem już coraz głodniejszy i chciałem coś zjeść. Wszedłem na salę. Znacie tę salę? Jak Wam wiadomo, nasi architekci wnętrz wypracowali pewien swoisty styl, polegający na harmonijnym łączeniu elementów dna basenu i remizy straży pożarnej; na tej sali można było grać w piłkę nożną i latać samolotem. Zamówiłem kolację; orkiestra grała tango, zacząłem już pomału odzyskiwać równowagę — lecz na estradę wyszła śpiewaczka. Styl jej śpiewu był równie daleki od artyzmu, wdzięku i prostoty, jak dalekie było to wszystko, co dane mi było potem p r z e ż y ć. I przykro mi było, towarzyszu Redaktorze, gdy patrzyłem na tę młodą i ładną dziewczynę, jak usiłowała robić z siebie dziewkę. Czułem się jakoś przykro upokorzony. Kocham śpiew tak jak i Wy, kocham dobre wzruszenia, lecz cóż to miało wspólnego ze śpiewem, z pięknem, wzruszeniem? Skończyła. Teraz było tango z kastanietami w wykonaniu jakiejś pani, która zapowiedziana była jako „tancerka". Potem młodziutki chłopiec z drugą tancerką wykonał tango hiszpańskie. Skończyli, rozległy się ogłuszające brawa i dzikie okrzyki; klaskała już połowa sali, ulegli nawet najniewinniejsi; wszak oto publicznie bezczeszczono to wszystko, co nazywa się pięknem i sztuką — czyż można było nie wyć z zachwytu? Wtedy pomyślałem sobie: wiem już teraz dlaczego oficerowie kiedyś popełniali samobójstwa w lokalach. Dlatego, iż były tam artystyczne występy. Potem ugryzłem, rozbiłem, szczekałem. Potem już wiecie.

Z poważaniem — Szaleniec.

P. S. (pisane już po dojściu do równowagi). Towarzyszu Radaktorze! Te — napisane powyżej — żartobliwe słowa, ani w jednej dziesiątej nie oddają ponurości i koszmaru tych artystycznych produkcji. Nie jestem wykwintnym ironistą; słowa te nie perlą się dowcipem wysokiej klasy. Czytelnicy wybaczą mi zapewne, gdyż działałem jednak w słusznej sprawie. Mamy prawo bić się o to, aby wszystko, co nazywają w naszym kraju sztuką — było piękne i czyste; mamy prawo dobijać szmirę; szmirę, która rozpleniła się dzisiaj jak fałszywe grzyby po deszczu, która wyje z plakatów, okładek książkowych, filmów i rozmaitych — tego rodzaju — występów artystycznych. Nie napisałbym w sprawie owych nieszczęsnych nocnych lokali ani słowa, gdyby były to lokale odwiedzane wyłącznie przez ludzi, którzy potrafią rozróżnić szmirę od sztuki: są sprawy, które należy pozostawić własnemu sądowi człowieka. Tam jednak przychodzą ludzie, dla których dziesięć lat Polski Ludowej — jest jednocześnie pierwszymi dziesięcioma latami kultury. Przychodzą tam, gdyż wierzą, że otrzymują rozrywkę — podczas gdy karmi się ich szmirą. Przychodzą tam, gdzie należy im się rozrywka po dniu pełnym pracy, wysiłku, nauki. I nie można dopuścić do tego, by ludzi tych nabijano w butelkę; szmira jest co prawda niestrawna, lecz wymioty nie są natychmiastowe. Czy po to, towarzyszu Redaktorze, przez dziesięć lat trud był codziennym chlebem, abyśmy powiedzieć teraz mogli: oto pracowaliśmy nad rozwojem kultury przez dziesięć lat i nareszcie mamy to samo co... przed wojną?

P. S. 2. Podnieście mi z łaski swojej honorarium za ten felieton o dwieście złotych, gdyż tyle wydałem na „wstępy", „dopłaty za występy artystyczne „konsumpcyjne" itd. W praktyce oznacza to, że dwoje młodych czy starych (jak tam kto chce), lecz skromnie sytuowanych ludzi, którzy chcą napić się czarnej kawy czy kieliszek wina i posłuchać trochę muzyki i mogą na to poświęcić przypuśćmy maksimum zł 30 — nie mają po co wybierać się do lokalu. Nie zapomnijcie, proszę!

List do Redakcji

JERZY RUDZKI

Czy właściwy kierunek natarcia?

(Jeszcze w związku z „Konfrontacją")

Przypomina mi się numer z dawnego programu „Syreny". Dyrektor jakiegoś przedsiębiorstwa organizuje akademię z referatem i częścią artystyczną o satyrycznym charakterze. Zaproszony do gabinetu dyrektora przedstawiciel teatru referuje mu projekt programu. A więc jest w nim satyra na biurokratyzm i kumoterstwo, jest krytyka pijaństwa, jest też i miłość. Dyrektor zachwycony. Ale oto przychodzą refleksje. Satyra na biurokratyzm podrywa przecież autorytet kierownictwa fabryki, czyż więc można zgodzić się na taką propozycję? Pokazać kumoterstwo — to narazić się głównemu inżynierowi, on zaś trzęsie produkcją — lepiej, dla dobra fabryki oczywiście, zrezygnować z ośmieszenia inżyniera. A pijaństwo? Czyż sami pijacy są w fabryce? Pokazać pijaków to też chyba niesłuszne, nie oddziała wychowawczo na tych, którzy nie piją. Więc miłość? Miłość na pewno zdemobilizuje ludzi w pracy, oderwie od warsztatów, trudno będzie wykonać plany produkcyjne... Krótko mówiąc cały program satyryczny biorą diabli, a jako gwóźdź akademii, pozostaje jak zawsze nienaruszony potężny referat.

Sprawa programu Studenckiego Teatru Satyryków „Konfrontacja" i tocząca się wokół niego na łamach POPROSTU dyskusja (por. Agnieszka Osiecka: „No więc — skonfrontujmy..." nr 20 i Andrzej Drawicz: „Prawo do konfrontacji" nr 22) stały się okazją do przypomnienia skeczu z „Syreny". Deklarować, że się jest za satyrą, a przy jej realizacji przekreślać poszczególne numery programu jako demobilizujące, podrywające autorytet i szargające świętości — to w praktyce wleźć w skórę ośmieszonego dyrektora, którego dobre chęci skończyły się na tromtadrackim „satyra — owszem, świetnie, ale..."

Czy wolno więc krytykować satyrę nie narażając się na porównanie z dyrektorem, o którym mowa? Myślę, że mimo wszystko — tak. Czy krytykować — to rzecz bezpieczna? Nie zawsze. Wie o tym i zespół teatru, pod którego adresem zgłoszono różne „ale", wie o tym też nazbyt dobrze kol. Osiecka, której z okazji krytyki teatru, zapewne w różnych punktach nienajsłuszniejszej dostało się wiele i chyba nie zawsze zasłużenie. Ale niech nie zatrważa nas buńczuczna pogróżka: „Poczekaj, skonfrontujemy i ciebie na scenie!". Zresztą — powiedzmy sobie szczerze — najłagodniejsza to forma riposty. Można się i znacznie gorzej narazić.

Na zebraniu Studenckiego Klubu Dyskusyjnego debatującego nad przedstawieniem przez blisko trzy godziny z ust przedstawiciela teatru w odpowiedzi na krytykę usłyszeliśmy m. in. niefrasobliwe zdanie: „Byli tu tacy, co zrozumieli i im się bardzo podobało...". Argument równie zabójczy, co skromny. Oceny krytyczne sprowadzone zostały do nieporozumienia, ci zaś, którzy niebacznie ośmielili się mieć zastrzeżenia do programu i jego koncepcji — do tych, którzy mają po prostu ciasno we łbie. A przecież Studencki Teatr Satyryków wypisał na swych sztandarach krytykę przez duże K.

Ale dość utarczek słownych i zaczepek. Nie bierzmy przykładu z kol. Drawicza, który z wspomnianego już wyżej zebrania Studenckiego Klubu Dyskusyjnego wybrał najłatwiejsze do odparcia, zgłoszone pod adresem teatru pretensje wszystkoistycznego typu, „Krytykujcie zachowanie studentów w tramwaju i stołówce", inne zaś zarzuty przezornie pominął zbywając je milczeniem. Metoda to wprawdzie łatwa i efektowna — tyle, że chyba nie najbardziej rzetelna.

A kiedy już mowa o metodach polemiki — to sprawa ta kojarzy mi się jakoś nieodparcie z kwitnącym często niestety dotąd na uniwersytecie tak zwanym intelektualnym chuligaństwem — bliską rodziną chuligana pokazanego nam w teatrze, z którym to chuligaństwem jako wykładowca mam okazję nieraz się zetknąć. Polega ono między innymi na demagogicznym dobieraniu argumentów w walce z przeciwstawnym poglądem, na sofistyce, spłycaniu polemiki, umysłowej nonszalancji, na podstawie pyszałka, zarozumialca, besserwissera, wodosodowiarza. Nie wątpię, że w którymś ze swoich następnych programów Studencki Teatr Satyryków — w większym stopniu niż dotąd — zechce wziąć tego wroga na cel. Przydałby się to bardzo...

Ale ad rem. Nie zamierzam pisać recenzji z „Konfrontacji". Zwalnia mnie to z obowiązku ukazywania wszystkich pozytywów widowiska i jego braków, zwalnia z ukłonów i przygan. Dla oddania świadectwa prawdzie przyłączmy się do tych, którzy podkreślali inwencję, a niejednokrotnie i talent autorów tekstów, staranną reżyserię, prostotę środków wyrazu, dobre wykonanie aktorskie i co najważniejsza — jak to ma np. miejsce, moim przynajmniej zdaniem, w wodewilu o przydziale pracy — celność satyry. Lista pochwał i ciepłych słów pod adresem teatru jest długa i myślę, że powtarzać ją raz jeszcze nie byłoby celu. Dlatego zestawmy na boku ocenę poszczególnych numerów przedstawienia i jego walorów artystycznych, zajmijmy się zaś sprawą wedle mnie centralną — sprawą koncepcji programu.

Wyjdźmy od intencji zespołu. Na Uniwersytecie Warszawskim organizacja zetempowska pracuje kiepsko, albo bardzo kiepsko. Wczoraj praca prowadzona była w sposób sztampowy i szablonowy, dziś króluje zamęt, zamieszanie, ideologiczny chaos, którego wyrazem jest fala potańcówek czy pijatyk. Studencki Teatr Satyryków pragnie winnych za ten stan przygwoździć i napiętnować dla dobra, rzecz jasna, organizacji, by zajęła ona należne jej miejsce wychowawcze wśród młodzieży. Tak w najzwięźlejszym skrócie przedstawiają się założenia twórcze programu i chyba należy im przyklasnąć.

Czy w programie satyrycznym proporcje tego co dobre i złe winny być zachowane wedle tego, jak jest w rzeczywistości? Ten postulat kol. Osieckiej i słusznie chyba najzupełniej odparty przez kol. Drawicza — jest werdyktem śmierci na satyrę. Niechże satyra chłosta jak najbardziej niemiłosiernie, niech obnaża bezlitośnie to co złe, małe, bezduszne, drobnomieszczańskie — pójdzie to na zdrowie zetempowskiej organizacji i nam samym. A więc nie ma między nami rozbieżności zdań co do roli satyry i jej miejsca, jej prawa do ukazywania w karykaturze naszych wad i braków.

A jednak... Jednak można by zgłosić do programu niejedno zastrzeżenie. Rozmawiałem z szeregiem pracowników naukowych już dawno nie w wieku zetempowskim — był wśród nich nawet znany historyk literatury, — którzy dzieląc się wrażeniami z przedstawienia i podkreślając jego rozliczne walory, zwracali uwagę na to, że spektakl pozostawia jednak niezwykle pesymistyczne, ponure wrażenie, nie zostawia bowiem na organizacji zetempowskiej suchej nitki, wyśmiewając ją całą od góry do dołu i czyniąc to często w sposób — użyję tu może nazbyt mocnego określenia — nihilistyczny.

Mówię o tych rozmowach nie dla poparcia własnej tezy autorytetami — można by zresztą zacytować wielu, którzy zajmują stanowisko przeciwstawne, — ale dla wskazania że i ludzie, którzy nie są celem obstrzału a więc ci, którzy nie mają się o co obrażać, jak to ma miejsce z niejednym zetempowskim aktywistą, dostrzegają, że w tej krytyce solidnie przegięto pałę.

Czy takie odczytanie programu zgodne jest z intencją zespołu? Tego nie wiem. Możliwe, że nie. A jednak z publicznością jakoś liczyć się trzeba — nie obroni nas ani argument typu „recenzentka nie zadała sobie trudu odczytania linii przewodniej programu", ani też miecz pogardy zawarty w zwrotach „szanowna recenzentko", „łaskawa koleżanko" itp.

Nie możemy przecież każdemu widzowi wręczać drukowanego przewodnika, który będzie wyjaśniał, co miał na myśli autor satyry pisząc to a to. A jeżeli wielu ludzi zrozumiało rzecz opacznie nie widząc z programu, po której stronie się on opowiada, to może to być nie tylko wina ich ograniczonych horyzontów. Warto to w spokoju i skupieniu rozważyć. Zobowiązuje do tego przynajmniej ów zwrot „my mali ludzie", co ma być przecież najlepszym dowodem skromności, której — nawiasem mówiąc — niewiele widać. Kol. Osiecka — sądzę — rzeczywiście fałszywie między innymi odczytała spowiedź chuligana i niesłusznie się na nią obrusza.

Na czym więc polega owo nieporozumienie. Odpowiedzmy na to pytanie nie wprost. Dyskutujemy nad naszą architekturą; ganimy instytucje zajmujące się budową ulic, kanalizacji, sieci cieplnej, czy też MPK za rozkopywanie jezdni w tak wielu punktach miasta równocześnie, że niesposób ani przejść ani przejechać. Czy słusznie czynimy uprawiając krytykę? Na pewno tak. Ale oto zjawia się wróg — przedstawiciel prywatnej inicjatywy, niebieski ptak, spekulant, co zacieklejszy szofer-właściciel taksówki (panie, przed wojną miałem cztery!) i powiada: Oni budują? Do diabła z ich budową! MDM do chrzanu, z jezdniami wieczny bałagan, ciągle robota od nowa! Krótko mówiąc usiłuje się korzystając z powszechnej dyskusji krytykującej braki, sprowadzić do zera nasze osiągnięcia, zlikwidować je i ośmieszyć. Czy wobec tego mamy może zaprzestać krytyki? Oczywiście nie. Ale krytykując i walcząc z samouspokojeniem nie traćmy z oczu perspektywy, tego co było i co jest, tego, że nie do pomyślenia byłoby przed wojną budowanie arterii komunikacyjnych, co dziś uważamy za rzecz naturalną i zwykłą, że stara Marszałkowska, Miła, Dzielna czy Pawia nie wytrzyma żadnego porównania ani z MDM-em ani z Muranowem nie mówiąc już o Starym Mieście, choćby rzeczywiście można było błędów i usterek niemało wytknąć. Brzmi to zapewne jak banał, ale przecież nie zawsze uświadamiamy sobie treść zawartą w znanych powszechnie prawdach.

Jaki ma to związek z programem „Konfrontacji"? Chyba ten, że ukazując błędy i braki organizacji i że je generalizując zapomniano o tej perspektywie, o tym co w organizacji silne, żywotne i zdrowe, o tym co zapewnia organizacji zetempowskiej dalszy rozwój i żywotność. Nie zawahano się głupich, rzeczywiście powiedzmy sobie, bardzo głupich zabaw, przyrównać do korporanckich „rozrywek". Czyż więc nie poszliśmy zbyt daleko przyrównując rycerzy pałki i żyletki do naszej — prawda, robiącej wiele błędów i głupstw — młodzieży?

Majakowski w „Łaźni" pokazał nam hydrę biurokracji w całej jej okazałości. Ale Majakowski nie zapomniał przy tym pokazać i pozytywów, a wśród nich konstruktorów maszyny czasu, prawda — fantastów i w stosunku do machiny biurokratycznej słabych, ale jednak tych, którzy wiedzą o co walczyć, którzy chcą przy pomocy swej maszyny przemierzyć, lotem błyskawicy dziesiątki lat zacofania dawnej Rosji. Czy proporcje z życia zostały tu zachowane? Stałoby się źle, gdyby tak było. Nikt nie ma pretensji do Majakowskiego o to, że jego Naczdyrdups jest potężniejszy od konstruktorów, symbolizujących realizatorów pięciolatek. Ale jednak o pozytywach nie zapomniano. Pokazano, że jest o co walczyć, że cel — może to brzmi patetycznie — jest wielki.

A jak jest na „Konfrontacji"? Niestety trudno doszukiwalibyśmy się w tym przedstawieniu choćby najlżejszej, mówiąc językiem filozofii, walki przeciwieństw. Całość programu w stosunku do organizacji jest na „nie", tak, że gdyby chcieć wyciągnąć z niego wnioski to te chyba tylko, że przy takim zamęcie, bałaganie i rozkładzie trzeba by organizację rozpędzić.

Nie mam ani na chwilę wątpliwości, że zespół takiej wymowy przedstawienia nie zamierzał — wyjaśnia to przecież dostatecznie kol. Drawicz, ale jednak, i tu zgadzam się z kol. Osiecką, na widok, jak powiada ona, rozbisurmanionej do ostatnich granic młodzieży zetempowskiej widza opanowuje pesymizm. Jak to powiedział ktoś, chciałoby się po przedstawieniu powiesić. A jeżeli wszystko jest złe w organizacji, jeżeli nie ma śladu choćby najsłabszego, że istnieją ludzie i siły reprezentujące ideowość i słuszny kierunek — to co dalej? Czy są perspektywy zmiany i poprawy? Czy jest na kogo liczyć i stawiać? Czy wiadomo którędy iść? Te pytania nasuwają się w sposób nieodparty, odpowiedzi zaś na nie widz nie otrzymuje. Nie pomoże tu zapewne także broń cytatologiczna, od której — jak wypadałoby wnosić — teatr się odżegnuje.

Jeżeli więc powiadamy, że ZMP na Uniwersytecie to „jeden wielki bałagan" lub „kilka małych bałaganów", to cóż zrobiliśmy w tym kierunku, aby ów bałagan usunąć? Czyż sama karykatura zamętu pomoże? Chyba nie. Myślę więc, że — jak słusznie podkreślił ktoś w dyskusji na zebraniu Klubu Dyskusyjnego — niejasne jest z jakiej pozycji bijemy wroga, nie całkowicie jasny jest nasz stosunek do krytykowanych zjawisk. Samo tylko ośmieszenie organizacji, czego nie powstydziłby się zapewne i wróg czyniąc to z przeciwstawnych pozycji, nie wystarczy.

Niechże więc ze sceny chociaż satyrycznej —bije nie tylko pogarda do tego co złe, niechże między wierszami choćby da się zobaczyć także i to co dobre, co napawa nas entuzjazmem i wiarą w naszą sprawę, niechże jasny będzie całkowicie stosunek krytykującego do krytykowanego. Taki tylko program może pomóc w usunięciu tych braków, o których tak wiele mówimy.

Czy właściwy kierunek natarcia? Odpowiedzmy i tak i nie. Tak — bo uderzono słusznie w błędy organizacji, niejednokrotnie trafnie i dowcipnie, bo broń, po którą sięgnięto, może rzeczywiście oddać wielkie usługi w walce o zdobycie organizacji zetempowskiej należnego jej miejsca wśród młodzieży; nie — bo ośmieszając błędy nie rzucono prawie wcale prób rozwiązań, nie zawarto ich nawet choćby w negacji tego co jest. A od zetempowskiego aktywu trzeba tego chyba wymagać, mimo że zadanie to, prawda, do realizacji niełatwe.

Kol. Drawicz pisze o widzach, którym jednak mimo wszystko — rzeczywiście przejaw to niezwykłego szacunku — oddaje cześć uznając, że „to ludzie mniej lub bardziej aktywni, ale uczciwi". Lecz chyba fałszywie brzmi zdanie, w którym autor artykułu powiada dalej: „to nasi sprzymierzeńcy, szeregowi, podoficerowie i oficerowie organizacji".

Więc jak to? Czyżby aktyw zetempowski siedzący na sali miał być tylko sprzymierzeńcem aktywu występującego na scenie? Czyż nie łączy i jednych i drugich ta sama organizacja i wspólny cel, czyż krytyka prowadzona jest z wyżyn boskiej Melpomeny, a nie z tych samych pozycji? Podobne refleksje nasuwają się również przy czytaniu deklaracji: „Chcemy im (podkr. — J. R.) dopomóc w szybszym i pełniejszym zrozumieniu sensu zjawisk, które ich (podkr. J. R.) niepokoją. „Im" — to znaczy komu? Chyba za mało poczuwamy się do tego, że sami jesteśmy kość z kości, krew z krwi zetempowcami, nie zaś nauczycielami-mentorami, których zadaniem jest oświecać maluczkich.

Życzymy Studenckiemu Teatrowi Satyryków jak najlepszych sukcesów w przyszłym roku. Cieszymy się z powodzenia teatru wraz z zespołem. Jeżeli krytykujemy, to nie aby kwestionować sens tej pracy lub ją wręcz topić. Jest to chyba nasza wspólna sprawa i to dyktuje niniejsze uwagi. A przemyśleć je chyba wypada...

O kilku palących problemach studiów dziennikarskich

Zabierając głos w sprawie studiów dziennikarskich należy stwierdzić, że dyskusja zapoczątkowana artykułem Andrzeja Jeżewicza (POPROSTU nr 21) nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Zeszła ona na tory niemerytorycznej, niekonstruktywnej polemiki nie podejmując w zasadzie właściwego tematu.

Nie wdając się obecnie w rozważania na temat słuszności i wartości tej czy innej wypowiedzi, konieczne jest postawienie niektórych palących dla wydziału dziennikarskiego problemów. Wśród nich wybijają się na czoło cztery zagadnienia: rekrutacji, systemu studiów, specjalizacji i kadry naukowej.

Jest rzeczą bezsporną, że obecny sposób rekrutacji nie daje gwarancji przyjęcia na studia ludzi posiadających umiejętności i walory konieczne w pracy dziennikarza. Warto pomyśleć, czy przyjęcia na wydział dziennikarski nie powinny odbywać się tą metodą jak np. na Wyższą Szkołę Aktorską. Zgrupowania, obozy przedegzaminacyjne, jak również prowadzenie po pierwszym roku ostrej, zdecydowanej selekcji — to jedno z niezbędnych usprawnień dotychczasowego systemu rekrutacji. Należałoby również przedyskutować ewentualność jakościowej zmiany i utworzenia studiów dziennikarskich dla tych, którzy mają za sobą praktykę zawodową lub ukończony wydział specjalizacyjny wyższej uczelni. (O sprawach tych piesze prof. Bułankin w zamieszczonym niżej artykule — Red.).

Od przyjęcia jednej z tych koncepcji zależy ustalenie programu. Tak czy inaczej studia dziennikarskie powinny zasilać naszą prasę „ludźmi piszącymi" i posiadającymi określony kierunek specjalizacyjny. Teoria głosząca jakoby wydział dziennikarski kształcił pomocniczych pracowników działów, sekretariatów redakcji i wydawnictw — jest teorią jak najbardziej fałszywą. Prasa cierpi na nadmiar tak zwanego „aktywu" redakcyjnego, a chronicznym niedostatkiem dla wielu redakcji jest brak ludzi dobrze władających piórem. To oczywiście nie oznacza, że wszyscy absolwenci wydziału dziennikarskiego powinni zostać natychmiast publicystami, reportażystami itd. Chodzi tylko o to by „produkcja" tego wydziału zaspokajała rzeczywiste potrzeby naszej prasy. A żeby tak w istocie było, konieczna jest gruntowna zmiana dotychczasowego systemu studiów.

Zajęcia praktyczne (nie tylko w zakresie notatki miejskiej) powinny zaczynać się już na pierwszym (selekcyjnym) roku. Nacisk położony na te zajęcia nie może być mniejszy od wagi przywiązywanej do przedmiotów teoretycznych. Mniej wykładów o tym co nazywamy felietonem, reportażem, szkicem, a więcej praktycznej nauki tych form. Tematy prac powinny być tak dobierane by odpowiadały bieżącym potrzebom prasy, by studenci zbierając materiał „bawili się" w prawdziwych dziennikarzy, by mogli porównywać swoje artykuły nie tylko z oceną profesora, ale również z materiałami poruszającymi te same tematy w prasie. Dałoby to możliwość wyczucia aktualności tematu, możliwość nauki obserwacji i praktycznego zbierania materiału — słowem byłaby to prawdziwa nauka dziennikarskiego fachu.

Korzyść takich studiów wydaje się nie podlegać dyskusji. Dyskusyjna jest natomiast sprawa realnych możliwości takiej metody nauki. Wiadomo, że jeszcze nie tak dawno studia dziennikarskie były „akademią wszelkich scjencji pełną". Przedmiotów najróżnorodniejszych nie dałoby się zliczyć na palcach obu rąk. Dzisiaj jest już znacznie lepiej. Likwidacja resztek zbytecznego balastu stworzyła by możliwości poświęcenia więcej czasu na zajęcia praktyczne jak również warunki dla gruntownej, koniecznej specjalizacji.

Przynajmniej od drugiego roku studenci powinni mieć możliwość wyboru kierunku specjalizacyjnego. Oczywiście nie chodzi tu o wybór formy (felietonu, reportażu, publicystyki). Dobre by to były czasy gdyby każdy dziennikarz potrafił wypisać się w każdej formie. Chodzi o specjalizację merytoryczną, która powinna pociągać za sobą obowiązek chodzenia na te zajęcia, które łączą się z wybranym przez studenta kierunkiem. Na pewno pożyteczne byłoby umożliwienie korzystania z wykładów i ćwiczeń (lub rzeczywistego studiowania) jednocześnie na innym wydziale specjalistycznym zgodnym z kierunkiem wybranym na wydziale dziennikarskim.

Te wszystkie zmiany wymagają wzmocnienia personelu naukowego wydziału dziennikarskiego. Jak mieliśmy możność stwierdzić — problem kadry nauczającej jest newralgicznym punktem tego wydziału. Nienajwłaściwszy stosunek do potrzeb studiów dziennikarskich mają poszczególne zakłady i katedry Uniwersytetu Warszawskiego. Trudno jest również wykrzesać doświadczonym dziennikarzom stołecznym czas oraz ochotę do prowadzenia zajęć na wydziale. Wiele już w tej sprawie zdołano zrobić, utworzył się nawet aktyw profesorski wydziału, ale wzrastające potrzeby i wymagania stawiane studiom dziennikarskim, a szczególnie konieczna ich gruntowna reforma stawia na pierwszym planie problem kadry naukowej. Rezerwy na pewno są i to niemałe. Chodzi tylko o to, by zarówno senat Uniwersytetu Warszawskiego, jak również Zarząd Główny Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, nie mówiąc już o innych upoważnionych do tego instytucjach i instancjach, zwrócili uwagę na rzeczywiste potrzeby wydziału dziennikarskiego i pomogli towarzyszom z jego kierownictwa stworzyć warunki dla prawdziwej kuźni przyszłych nie pomocniczych, a pełnowartościowych pracowników prasy.

Przed praktykami

DANUTA SOSNOWSKA

Na pytanie — jakie korzyści dała im praktyka wakacyjna? — niektórzy z kolegów odpowiadali: żadne, po prostu strata czasu, najwyżej „otrzaskanie się z zakładem" inni zaś z entuzjazmem mówili o swoich osiągnięciach, ciekawych doświadczeniach, że teraz łatwiej jest studiować, orientując się w praktycznym rozwiązaniu wielu zagadnień itd. itd.

Dlaczego praktyki, które są tak ważnym czynnikiem nie tylko pogłębienia teoretycznych wiadomości studenta, ale także sprawdzianem stopnia jego przygotowania do przyszłego zawodu, są tak różnie oceniane i dlaczego zbyt często jeszcze nie przynoszą oczekiwanych rezultatów? Przyczyny są bardzo różnorodne. Postaramy się dotrzeć choć do kilku najważniejszych.

Podstawę praktyki stanowi umowa zawarta pomiędzy uczelnią i zakładem pracy. I tu od razu nasuwa się spostrzeżenie, że dotychczasowa droga zawierania umów (poprzez Ministerstwo Szkół Wyższych) jest bardzo długa i w wyniku tego niejednokrotnie umowy o praktykę zamiast w grudniu — zawierane są w maju. W tym „gorącym" okresie trudno już jest usunąć normalnie zdarzające się niedopatrzenia i usterki. Odbija się to także na przebiegu samych praktyk (na przykład studenci tracą czas na załatwienie hotelu, obiadów itp).

Poza tym wydziały uczelni, które zawierają umowy ze zjednoczeniami przedsiębiorstw na szczeblu wojewódzkim — **nie widzą konkretnego zakładu pracy, do którego kierują studenta** (oczywiście znane są zakłady znajdujące się w pobliżu uczelni, albo te, z którymi poprzez praktykantów wydział utrzymuje ściślejszy kontakt — stanowią one jednak niewielki procent). W każdym razie studenci, którzy jadą na praktykę (np. wydział budownictwa przemysłowego PW), wybierają przydziały na ślepo. Nie mając orientacji, jakiego rodzaju budowy prowadzi się w danej miejscowości — kierują się przeważnie tym, czy zakład odległy jest od ich miejsca zamieszkania, jakie są tam warunki „wczasowego" spędzenia czasu itp.

W wyniku tego „rozeznania" terenu istnieje wielka przypadkowość w wyborze zakładów pracy i ci koledzy, którzy podczas praktyk chcieliby poznać specjalnie interesujące ich zagadnienia, dostają się często na budowy mało atrakcyjne, gdzie z powodzeniem mogliby wyjechać studenci pierwszych lat.

Właściwa specjalizacja to następny poważny element decydujący o wartości praktyki. Pomimo że przewidziana jest ona w ogólnych założeniach organizacji praktyk — nie zawsze jednak znajduje właściwe rozwiązanie. Np. na wymienionym wyżej wydziale dopiero w bieżącym roku studenci sekcji transportu przemysłowego wyjeżdżają do hut, których transport jest ciekawie zorganizowany i gdzie będą mogli rzeczywiście wiele skorzystać. Inne specjalizacje nie pomyślały jednak o podobnym przeprowadzeniu praktyk.

Niejednokrotnie kieruje się też studentów do zakładów, w których nie ma warunków do praktycznego pogłębienia teoretycznych wiadomości. Np. na budowie zjednoczenia nr 3 w Międzylesiu studenci III roku wydziału budownictwa przemysłowego zastali już gotową halę (w stanie surowym), trwały przy niej jedynie roboty wykończeniowe. Ciekawe rozwiązania konstrukcyjne mogli oglądać już wykonane.

Właściwa kontrola przebiegu praktyk to także element odgrywający ogromną rolę. A doświadczenie mówi, że kontrola ta ze strony pracowników dziekanatów ogólnie biorąc, jest niedostateczna. Zbyt mała liczba kontrolujących nie pozwala sprawdzić, jak pracują studenci w większości zakładów.

Poza tym na poszczególnych wydziałach nie przywiązuje się specjalnej wagi do sprawozdań studentów, a zaliczanie praktyk traktuje się bardzo formalnie. Dzienniczki pracy podobne są jedne do drugich (przeważnie „podciągnięte" pod ustalony harmonogram), a sprawozdania tylko w wyjątkowych wypadkach odznaczają się przemyśleniem i oryginalnością tematu. I nie są one w zasadzie ani oceniane, ani analizowane przez pracowników naukowych zainteresowanych katedr.

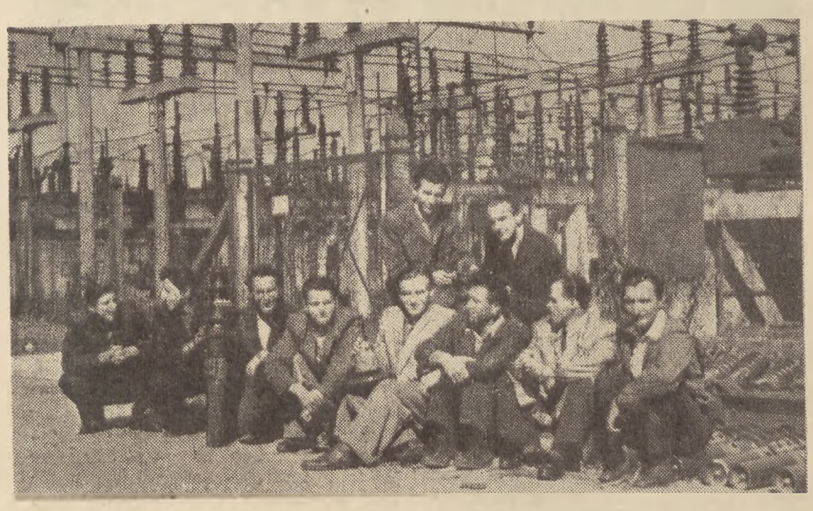

Studenci z III roku wydziału elektrycznego Politechniki Warszawskiej na praktyce w Zjednoczeniu Energetycznym Okręgu Południowego Stalinogród.

Dotychczas nie ma, niestety, ustalonych przepisów, jak powinny wyglądać sprawozdania studentów z praktyk. Niektóre wydziały PW eksperymentują i ustalają własne, najczęściej bardzo zresztą słuszne, zasady. Np. wydział elektryczny — poza ogólnym opisem zakładu wymaga od praktykanta szczegółowego opracowania jednego zagadnienia ilustrowanego szkicami, rysunkami itp. Zmusza to studentów do samodzielnych przemyśleń i poważnego ustosunkowania się do pracy w zakładzie. Zaliczenia praktyk odbywają się tam w postaci kolokwiów, które są sprawdzianem wiadomości studenta. Dziekanat wymaga też, aby praktykanci sygnalizowali trudne do rozwiązania w zakładach problemy, które mogą się stać przedmiotem badań naukowych poszczególnych katedr.

Drugim podstawowym ogniwem, które decyduje o wartości wakacyjnych praktyk studenckich — jest zakład pracy. I tutaj panuje już zupełna dowolność w pojmowaniu opieki nad studentami i umożliwienia im osiągnięcia korzyści z pracy w zakładzie. Przykłady złej opieki, a raczej żadnej — można by niestety, mnożyć w nieskończoność.

W wielu zakładach jako kierowników praktyki wyznacza się ludzi nie umiejących temu zadaniu podołać, przeciążonych własnymi obowiązkami.

W takich warunkach w ubiegłym roku studenci wydziału mechanicznego Politechniki Wrocławskiej zostali na dwa tygodnie skierowani do pracy przy sporządzaniu remanentu w magazynach FSO na Żeraniu. Studenci III roku wydziału budownictwa przemysłowego PW na budowie Zakładów Wytwórczych Łączników Wysokiego Napięcia w Międzylesiu — z nudów wystukiwali na maszynie, opalali się na słońcu, kąpali w basenie, czy grali w bridża. W innych zakładach praktykantów zatrudniono przy dekoracji świetlicy, robieniu gazetek ściennych, malowaniu znaków drogowych, wyjmowaniu gwoździ z desek itp.

Niewiele wymagając od praktykantów kierownictwo zakładów często tolerowało nieróbstwo, a potem składano podpisy w dzienniczkach wypełnionych „pod harmonogram". W innych zakładach opieka polegała na prowadzeniu „za rączkę" według programu. Nawet doświadczeni inżynierowie często nie do końca **rozumieli, że praktykant wtedy „zapali się" do pracy, która przyniesie korzyści i zakładowi i jemu samemu — gdy otrzyma ciekawe, interesujące go zadanie.**

Do litanii pretensji, które można by skierować pod adresem niejednego zakładu, należy dodać zbyt często jeszcze występujący brak troski o sprawy bytowe praktykantów.

Za dwa tygodnie rozpoczynają się wakacje. Niektórych spraw nie da się już odrobić (np. przypadkowe skierowanie) inne są jeszcze do załatwienia w zakładzie pracy.

Należy się spodziewać, że wydziały na podstawie ubiegłorocznych i bieżących obserwacji wyciągną ogólne wnioski, aby praktyki studenckie przyniosły rzeczywiste korzyści. Wydaje się, że w ich przygotowaniu należałoby przede wszystkim wziąć pod uwagę najogólniej rzecz biorąc następujące sprawy:

Po pierwsze. Konieczność wczesnego zawierania umów, bezpośrednio z zakładami, a nie poprzez ministerstwo — co pozwoli uczelni lepiej widzieć zakłady pracy i nawiązać ściślejszy kontakt z uprzednio wyznaczonymi kierownikami praktyk.

Po drugie. Koniecznie przy skierowaniu na praktyki uwzględniać specjalizację i zainteresowania studentów. (Inicjatywa wydziału budownictwa przemysłowego PW, który ogłasza konkurs na samodzielne opracowanie oryginalnego zagadnienia przez studenta podczas praktyki — jest bardzo słuszna i godna popularyzacji).

Po trzecie. Zorganizowanie właściwej opieki nad studentami w samym zakładzie pracy. Bezwzględne domaganie się zapewniania praktykantom odpowiednich warunków bytowych.

Poza tym kierownictwo zakładu musi uprzednio przewidzieć, w jaki sposób praktykanci zostaną zatrudnieni. Jako przykład doceniania tego zagadnienia może służyć Elektrociepłownia na Żeraniu, gdzie główny inżynier eksploatacji Wudkiewicz i kierownik praktyk inż. Tymiński znają harmonogram zajęć studentów i przygotowali już dla nich specjalne tematy do samodzielnego opracowania, jak np.: odgazowanie wody zasilającej. Przewidują także ich pomoc teoretyczną przy wprowadzaniu kompleksowego oszczędzania.

W celu podniesienia wagi praktyk w terenie warto by było zorganizować na szczeblu wojewódzkim odprawy dla kierowników praktyk w zakładach, poświęcone ustaleniu metod pracy ze studentami.

Po czwarte. Należałoby ustalić zasady sprawozdawczości studentów przy zaliczaniu praktyki. Więcej wagi do tych sprawozdań powinny przywiązywać poszczególne katedry.

Oczywiście nasze dotychczasowe rozważania dotyczą przede wszystkim organizacyjnych zasad przygotowania praktyk. Jednakże nawet najlepiej przygotowana praktyka może nie spełnić swego zadania, gdy stosunek do niej ze strony samego praktykanta nie będzie dostatecznie aktywny i twórczy. Mamy niestety sporo przykładów takiej niewłaściwej postawy wśród wielu studentów. Choć dziś coraz więcej z nas rozumie, że bez rzetelnej konfrontacji swej wiedzy z życiem niemożliwe jest samodzielne i twórcze studiowanie — konieczna jest pomoc organizacji ZMP-owskiej w tym, aby każdy wyjeżdżający na praktykę zdawał sobie w pełni sprawę z jej znaczenia, aby stosunek do nałożonych nań obowiązków był jak najbardziej aktywny.

Problem praktyk szczególnie w okresie przed i powakacyjnym powinien stanąć w centrum uwagi organizacji uczelnianej. Sprawa ta jest niewątpliwie bardzo pilna, a niedociągnięcia zauważone choćby na Politechnice Warszawskiej dowodzą, że do zrobienia pozostało jeszcze wiele.

Do naszej dyskusji o systemie studiów

Studenci a szkoła życia

Prof. I. BUŁANKIN

rektor Państwowego Charkowskiego Uniwersytetu imienia Gorkiego członek rzeczywisty Akademii Nauk ZSRR

Co roku w mury Charkowskiego Uniwersytetu im. Gorkiego wstępuje około 1000 studentów. W ciągu pięciu lat profesorowie i wykładowcy powinni przerobić z nimi materiał, kontrolując jednocześnie wyniki tej pracy tak, by w rezultacie wypuścić wykwalifikowanych specjalistów, pełnowartościowych pracowników. W tym celu na Uniwersytecie stwarzało się i stwarza wszelkie warunki.

Ale czy nasi absolwenci mogą spełniać nadzieje pokładane w nich jako ludziach z wyższym wykształceniem? Praktyka wykazuje, że nie zawsze. W czym zatem tkwi przyczyna tego, że młodzi ludzie, którzy otrzymali dyplom, muszą jeszcze przez kilka lat pracować, by opanować swój zawód, przyzwyczaić się do samodzielności, do osiągnięcia upragnionego celu? Oczywiście w tym, że wyższy zakład naukowy dał studentowi wiadomości, ale niewystarczająco przygotował go jako samodzielnego pracownika.

Instytucje, którym wypadło przyjąć niektórych z tych niedoświadczonych, nieprzygotowanych do samodzielnej pracy specjalistów z wyższym wykształceniem, skłonne są obarczać za to odpowiedzialnością uniwersytety względnie inne wyższe zakłady naukowe. Jednakże istotna przyczyna leży znacznie głębiej.

Rzecz w tym, że teraz, zgodnie z przepisami, przyjmowani są na wyższe uczelnie 17—18-letni chłopcy i dziewczęta. Po skończonej nauce stają się oni starsi o 4, względnie 5 lat, mają zdobyte wiadomości, ale brak im tej wprawy, która jest koniecznie potrzebna młodemu agronomowi, nauczycielowi, lekarzowi, inżynierowi i pracownikowi naukowemu. Praktyka uczelniana nie rozwiązuje problemu tego, gdyż jest ona traktowana marginesowo i w niedostatecznym stopniu zmusza słuchaczy do zajęć praktycznych.

Wielu młodych ludzi wstępuje na wyższe uczelnie niezupełnie zdając sobie sprawę ze swojej przyszłej pracy zawodowej, przeceniając swe siły, zostają studentami, bo chcą tego rodzice. Po 2—3 latach zaczynają rozumieć, że niesłusznie wybrali kierunek i poświęcili się sprawie, która im nie odpowiada. Czy możemy ich winić za tę lekkomyślność przy wstępowaniu na wyższą uczelnię? Mając lat 18 człowiek nie zawsze odznacza się specjalnym rozsądkiem.

Bywa i gorzej. Zdarzają się u nas chłopcy i dziewczęta, którzy wykazują „raptowną" niechęć do wybranej specjalności akurat wtedy, kiedy trzeba zostawić rodziców i wyjechać na wyznaczone miejsce pracy. A do rektoratu uczelni napływają podania z prośbą o zwolnienie „dzieci" od nakazu.

Takie wypadki prawie nigdy się nie zdarzają wśród samodzielnych, młodych ludzi, którzy przyszli na wyższą uczelnię z przemysłu, armii czy technikum. Te niepokoje i wzruszenia — to wynik cieplarnianego wychowania młodzieży pod skrzydełkami mamusi i tatusia, młodzieży, która nigdy nie próbowała zarabiać na życie własnymi rękami.

Są jeszcze młodzi ludzie rozpatrujący swoje studia jako przyjemne spędzanie czasu związane z nieprzyjemnym obowiązkiem zdawania czasami egzaminu. Wstyd o nich mówić, a jeszcze bardziej wstyd milczeć. Od takich ludzi z wyższym wykształceniem nie można się spodziewać, by ich praca była pożyteczna i wydajna My staramy się uwolnić od nich uniwersytet, co zresztą nam się udaje. Niekiedy spotykamy się ze studentami, którzy formalnie wypełniają wszystkie obowiązki, a w rzeczywistości nie wkładają w naukę woli, uczucia i pracowitości. Usunąć ich nie ma za co, a pozwalać skończyć — nie ma potrzeby.

Wyczuwając, że w każdym roczniku wypuszczonych studentów dajemy państwu pewną ilość niepełnowartościowych specjalistów, którzy jeszcze nieprędko zaczną zwracać swój dług zaciągnięty wobec państwa, a często w ogóle go nie zwrócą — my, kierownicy i nauczyciele wyższych uczelni, ze wzruszeniem wspominamy tych studentów, którzy studiowali u nas w pierwszych latach powojennych. Młodzieńcy, którzy przeszli chrzest wojenny i dziewczęta, które pracowały w fabrykach i na polu — to była młodzież, która przyszła na uniwersytet nie dlatego, że tak wypada, że kolega też poszedł, a dlatego, że u nich powstało niepowstrzymane dążenie do wyższego wykształcenia i pewna świadomość konieczności oddania ojczyźnie wszystkich wiadomości i zdolności.

Z miłością mówią na Charkowskim Uniwersytecie o członku-korespondencie Akademii Nauk USSR, laureacie Stalinowskiej Premii A. Pogorelowie, który zaczął studiować przed wojną a ukończył aspiranturę już po pobycie na froncie. Im było znacznie trudniej wziąć się za książki, niż młodzieży przychodzącej na uniwersytet prosto z ławy szkolnej. Ale ile energii, dojrzałej woli i starań włożyli oni w opanowanie nauki! Można więc też o nich powiedzieć ze spokojnym sumieniem: „Są to prawdziwi pracownicy nauki z perspektywą przyszłości i głębokimi wiadomościami". Nasi profesorowie z przyjemnością wspominają wielu studentów ubranych jeszcze na wpół wojskowo. To byli ludzie, którzy nie tylko sami stanowili wzór poważnego stosunku do nauki, ale podciągali innych swoim przykładem. Życiowe doświadczenie zdobyte przed uniwersytetem, oraz wiadomości na nim otrzymane stworzyły pełnowartościowego, prawdziwego specjalistę.

Wydaje nam się, że przyszła chwila, w której należy uczciwie i otwarcie powiedzieć, że trzeba przeanalizować system przyjmowania młodzieży do wyższych zakładów naukowych, udzielić pierwszeństwa maturzystom, którzy posiadają już staż pracy, i którzy okazali się w życiu dojrzałymi, samodzielnymi ludźmi. Dlatego nie można nie zgodzić się ze zdaniem grupy pracowników przemysłowych i wyższych uczelni Saratowa, którzy wypowiedzieli się na łamach „Litieraturnoj Gazety", że byłoby wskazane, ażeby młodzieniec przed wstąpieniem do wyższej uczelni popracował 2—3 lata w tej gałęzi gospodarstwa narodowego, która odpowiada wybranej przez niego specjalności. Związane to jest co prawda z pewnymi trudnościami. W wyższych uczelniach technicznych trudności te są mniejsze, ale gorzej z uczelniami humanistycznymi. Jednak każda praca, każdy wysiłek, dadzą młodemu człowiekowi życiowe doświadczenie, konieczne dla wyższego wykształcenia i dla jego przyszłej działalności już w roli dyplomowanego fachowca.

Trudno przewidzieć konkretne formy, z których mógłby powstać nowy system przyjmowania studentów. System ten jest jednak konieczny. Jest to jasne i dla profesorów i dla kierowników przedsiębiorstw, w których pracują młodzi specjaliści: o formach przyjęcia studentów na uczelnię trzeba pomówić poważnie.

Moje osobiste sugestie w tej sprawie są następujące: przy przyjęciu na uniwersytet lub do instytutu należy dawać pierwszeństwo ludziom posiadającym staż przemysłowy lub wojskowy, przy równorzędnych innych zaletach. To da owoce już w najbliższej przyszłości, a państwo zacznie otrzymywać bardziej doświadczonych, energicznych i wartościowych specjalistów z wyższym wykształceniem

„Litieraturnaja Gazeta" z dnia 26. 5. 1955 r. (tłum. mgr K. Baliński).

Luka

(Dokończenie ze str. 3-ciej)

Anka na zebraniu siedziała obojętna jakby wszystko to nie jej dotyczyło. Tylko chwilami, gdy dotykano spraw szczególnie jej drogich, intymnych, mieniła się na twarzy i zaciskała usta. Nie zabrała w ogóle głosu. Długo nalegali by coś powiedziała, ale ostatecznie dano jej spokój. Uchwała o wykluczeniu z organizacji była jednomyślna.

Po dwóch dniach komisja dyscyplinarna skreśliła ją z listy studentów.

Anka pozostała w Gdańsku jeszcze kilka dni. Prawdopodobnie likwidowała jakieś swoje sprawy na mieście.

Przez ten czas chodziła z martwą twarzą, jakaś obojętna, daleka i obca. Nie rozmawiała z nikim. Z nikim na uczelni się nie żegnała. Czwartego dnia po decyzji komisji przed wieczorem spakowała rzeczy i wyjechała do domu. Na uczelni szybko o niej zapomniano.

Nie wiem co obecnie dzieje się z Anką. Prawdopodobnie wróciła do domu, który nic przecież nie wiedział o jej sprawach. Prawdopodobnie gdzieś pracuje. Ma jakieś swoje życie. Chyba chodzi z matką do kościoła i czyta książki z biblioteki ojca. Może czasem wyrywa się do miasta. Nie wiem czy do uczelni i studiów, czy do nocnego życia Gdańska.

Trudno przewidzieć losy ludzkie. Nie można stawiać krzyżyka pod przyszłym życiorysem Anki. Nastąpić może przecież przypadek, poprzez który Anka po raz drugi wyrwie się ze swego środowiska i odnajdzie prawdziwy sens życia. Taki przypadek jest bardzo możliwy, zgodny z prawidłowością naszych czasów.

Może też stać się inaczej.

Na razie Anka jest pozycją przegraną. Dlaczego stało się tak, nie inaczej?..

Troskliwy dom rodzinny Anki nie przygotował jej do życia. Kompleks mieszczańskich anachronizmów wychowawczych nie wytrzymał konfrontacji z życiem. Kiedy w zetknięciu z uczelnią i studenckim środowiskiem załamał się, nie zastąpiło go nic innego. A może nic innego nie zdążyło go tylko zastąpić? Faktem jest, że w lukę tę poprzez nieszczęśliwą miłość, wcisnęło się nocne życie portowego miasta.

Zdążyć w życiu człowieka, to wielka sztuka. Czy można o niesprostanie jej oskarżać osiemnastoletnich kolegów i koleżanki Anki? Czy można im czynić zarzuty, że na zebraniu potrafili dojrzeć tylko fakty a nie zdołali spojrzeć głębiej, wniknąć w przyczyny i w skutki? Tego rodzaju zarzut byłby sprzeczny z prawami rozwoju człowieka.

Ale można było od nich żądać, aby dostrzegali fakty, by napawały ich one prostą, ludzką troską o losy człowieka. By starali się lukę zapełnić na tyle, na ile ich stać.

Jeszcze kilka słów o Ance. Czyż człowiek istotnie jest ofiarą, niewolnikiem swojego losu? Od człowieka można wymagać, by kształtował go świadomie a nie bezwolnie poddawał się biegowi wypadków.

Tragedia Anki zaczęła się w domu rodzicielskim. Zapoczątkował ją stary i przeżyty, zakłamany i oderwany od życia — mieszczańsko-katolicki system wychowawczy.

A potem przyszła luka. Zresztą nie tylko w życiu Anki, ale i owych jej kolegów wykolejających tramwaj. Inny przejaw tego samego zjawiska.

I tak jednostkowa historia Anki — przeciętnej dziewczyny sprowadza się do jednego problemu:

Życie człowieka nie znosi luk. Obalić stare — to jeszcze nie największa sztuka. Zastąpić je nowym, rzecz trudniejsza ale i konieczna.

J. U.

BELLUM CONTRA OMNES ■ BELLUM

W dwadzieścia wieków później

Żył w starożytności pewien Grek, który za cel życia postawił sobie dążenie do sławy. Do sławy — za wszelką cenę.

Nie byłoby w tym nic godnego uwagi — wielu takich jeszcze się zdarza — gdyby nie drobiazg: Grek nie bardzo wiedział, w jaki sposób ów cel osiągnąć. Ale od czegóż jest głowa (już w tamtych czasach niektórzy używali tego narządu do myślenia). Więc i Grek zaczął myśleć. Myślał, myślał, aż wymyślił: „Efez!"

W Efezie stała znakomita, słynna na cały kraj świątynia. Wierni składali tu od lat hołdy cudnej bogini księżyca.

Co robi nasz gonący za sławą i oryginalnością Grek? Udaje się do świątyni i... podpala ją.

Cel został osiągnięty. Historycy dali się sprowokować i sławę Herostrata (bo jak domyślacie się o nim tu mowa), rozkolportowali po wsze czasy, jako bezkonkurencyjną i niepowtarzalną.

Czy rzeczywiście niepowtarzalną?

Po dwudziestu paru wiekach znaleźli się znowu ludzie, którzy sięgnęli po laury Herostrata. Nie podpalili oni co prawda świątyni Diany, cóż znowu! Ot, po prostu zrobili tak: jeden z nich, Jan Błoński, opublikował w numerach „Życia Literackiego" obszerny artykuł o współczesnej poezji, w swoisty, mętny sposób komentując dorobek pisarski dziesięciolecia i wykładając swe poglądy na realizm socjalistyczny. Drugi, Ludwik Flaszen, wystąpił na ostatnim plenum Związku Literatów w Warszawie z natchnionym przemówieniem, usiłującym wykazać nędzę rewolucji ludowej w Polsce.

No cóż, nie każdemu dane zyskać popularność i rozgłos dzięki mądrej, prostej działalności publicystycznej krytyka literackiego. Wsio riba! Niech więc będzie sława, nawet... „kontrrewolucjonisty"!

Drodzy chłopcy podwawelskiego grodu, źle się bawicie! Bierz licho świątynię Diany! Ale tu głoszone przez was głupstwa trafiają w tysiącach egzemplarzy pism literackich do niekiedy mało wyrobionych czytelników! Istnieje „magia" drukowanego słowa! Słów waszych słuchają różni! Śliską obraliście drogę! O upadek tu nietrudno! W dodatku i sława i oryginalność są dość problematyczne: zbyt wielu mętniaków wyrzuciły ostatnio na piasek fale „odważy", przemywające naszą kulturę.

Czy już nie dowcipniej ubrać się w stare, wyciągnięte z krakowskich lamusów peleryny akademickie? Nikomu nie zaszkodzi ciekawe widowisko, a jeszcze ubawi dzieciarnię na Plantach, zaś dziwolągom politycznym i ideologicznym lepiej dać spokój! Herostrat jest anachronizmem.

(kg)

I komu tu wierzyć?

W Paryżu trwa Międzynarodowy Festiwal Sztuki Dramatycznej. Bierze w nim udział 21 zespołów z 21 państw — w tym także polski teatr z Krakowa. Tysiące ludzi w Polsce czeka na rzeczowe i obszerne wiadomości o przedstawieniach naszego teatru. A wysłannicy różnych gazet piszą dziwnie rozbieżne sprawozdania. Oto relacja A. Karzyńskiej i H. Kuźniakówny z „Expressu Wieczornego".

„We czwartek graliśmy „Zemstę", która przyjęta była gorąco. Na galowym przedstawieniu obecny był Ambasador PRL St. Gajewski. Reakcja widowni była niesłychanie żywa, oklaskiwano naszych artystów przy otwartej kurtynie, a po zakończeniu przedstawienia zgotowano im serdeczną owację. Na scenę wniesiono wiele koszów kwiatów. W dniu wczorajszym ukazała się już recenzja w „Monde" bardzo wysoko oceniająca sztukę i przedstawienie".

Chętnie poddajemy się entuzjazmowi dwóch pań z „Expressu", lecz oto czytamy inne sprawozdania z tego samego przedstawienia i... czar pryska. Są one bowiem wręcz przeciwstawne w ocenie przyjęcia występu przez publiczność. Jan Kott w „Trybunie Ludu" pisze:

„Krakowskie przedstawienie „Zemsty" jest staroświeckie w stylu inscenizacji i w całej koncepcji. Robi wrażenie prowincjonalne. I to musimy z całą otwartością stwierdzić. Tak też zostało przyjęte: jako rzecz martwa. A właśnie od nas oczekują Francuzi teatru żywego, namiętnego, ideowego".

Jerzy Pomianowski w „Życiu Warszawy" podał także surową, ostrą ocenę przedstawienia, zwracając również uwagę na fatalny dobór repertuaru.

I komu tu wierzyć? Stosunek głosów sprawozdawców jest równy — 2:2 (dwie niewiasty z „Expressu" contra Kott i Pomianowski). Można by więc wybrać zależnie od pesymistycznego lub optymistycznego nastroju. Ponieważ jednak nie lubimy tzw. cielęcego optymizmu i wolimy zawsze prawdę, choćby surową, przechylamy się na stronę m ę s k i c h sprawozdawców — tym bardziej, że ich oceny poparte są argumentami i analizą.

jak.

Jerzemu Jurandotowi

Przeczytałem „recenzję" J. Jurandota pt. „Studenckie Teatry Satyryczne" (Przegląd Kulturalny nr 23/145) i... zatkało mnie. Przyczynę wyłuszczę w punktach.

1. Autor pisze, że w czasie centralnych eliminacji studenckich zespołów satyrycznych na sali nie było dziennikarzy a w prasie ani wzmianki o tym wydarzeniu, co zachwiało wiarę Jurandota we wszechwładzę prasy.

W prasę nie trzeba wierzyć — prasę trzeba czytać. O będących przedmiotem „recenzji" zespołach pisały: „Trybuna Ludu", „Życie Warszawy", „Sztandar Młodych" i kilkakrotnie POPROSTU. Nie licząc już prasy terenowej. Za to zaś, że nie mógł Jurandot spostrzec licznie na widowni zgromadzonych dziennikarzy serdecznie przepraszamy. Istotnie zapomnieliśmy się kolejno p. Jurandotowi przedstawić.

2. Za teoretyczne dziełko o specyfice teatru satyrycznego, kanonach gry aktorskiej itp. dziękujemy w imieniu własnym i historii. Przydługi ten traktat prawdopodobnie sprawił, że p. Jurandotowi zabrakło miejsca na merytoryczną ocenę eliminacji i że zastąpił ją dobrodusznym: „ładnie dzieci, bardzo ładnie, starajcie się dalej".

3. Że w jednoakapitowych ocenach trzech czołowych zespołów nie ma ani słowa czegoś nowego, czego byśmy dotychczas już nie czytali, z tego oczywiście zarzutu czynić nie można. Można tylko jeszcze raz radzić autorowi czytanie prasy, przynajmniej gdy chce się pisać o rzeczach, o których ona już traktowała.

4. Podsumowując p. Jurandot pisze: „Nie wiem czy spośród pokazanych przez studenckie zespoły utworów choć kilka zdałoby już egzamin na prawdziwej „scenie".

My też na pewno nie wiemy, ale sądzimy, że tak. Ugruntowuje w nas to mniemanie fakt, że bieżący program „dorosłego" warszawskiego Teatru Satyryków wciąż idzie przy pełnej sali. A porównać go przecież z najlepszymi zespołami studenckimi nie można. Są one o tyle lepsze...

5. Kiedy uczniowie przerastają mistrzów — mistrzom wypada chyba uczciwie to przyznać i pomóc poważnie oceniając trud młodszych kolegów! A nie poklepywać po ramieniu i z głupia frant stwierdzać, że jeszcze „nie dorośli" do poziomu „dorosłej sceny".

JERZY URBAN

POLEMIKI

O życiu w Kosmosie

Jest to sprawa pasjonująca wielu czytelników, zarówno fachowców (astronomów, biologów) jak i laików. Toteż z pewnością artykuł pod takim tytułem, pióra prof. dr Włodzimierza Zonna, zamieszczony w Nr 22 POPROSTU zainteresował szerokie rzesze amatorów tego pięknego pisma. Ponieważ jednak prof. Zonn pominął pewne ciekawe rzeczy w swej pracy a niektóre przedstawił może zbyt jednostronnie, pragnę jego wywody uzupełnić a niektóre — sprostować.

Marsem, jako planetą, na której może krzewić się życie organiczne, zainteresował się szerszy ogół od czasu, gdy włoski astronom Schaparelli odkrył na powierzchni planety słynne kanały i morza (rok 1877), których geometryczne kształty pozwalały przypuszczać, iż mogą one być dziełem istot rozumnych. Owe kanały i morza, odróżniające się kolorytem od reszty powierzchni planety, uważa Gabriel Tichow, założyciel radzieckiej szkoły astrobotaników, za miejsca pokryte roślinnością.

Kwestię życia organicznego na Marsie ogranicza prof. Zonn do kontrowersji Tichow-Fiesienkow. Akademik Fiesienkow jest przeciwnikiem hipotezy życia na Marsie. Zanim powrócę do jego opinii, pragnąłbym podkreślić, że także wśród uczonych Zachodu toczą się spory na ten sam temat. Tichow ma potężnego sprzymierzeńca w astronomie amerykańskim nazwiskiem Slipher, który w roku 1954 podczas zbliżenia się Marsa do Ziemi na odległość mniejszą niż 50 milionów kilometrów badał powierzchnię Marsa w Bloemfontain w poł. Afryce z całą ekipą pomocników. Tichow czynił to samo w gruzińskim obserwatorium w Abastumani. Slipher sporządził w Bloemfontain około 20.000 zdjęć Marsa i jak donoszą pisma zachodnie, wypowiada się zdecydowanie za istnieniem życia na Marsie. Inny jednak astronom amerykański Laughlin trzyma stronę Fiesienkowa. W szczególności stara się on wyjaśnić istotę owych kanałów. Jego zdaniem, klimat na Marsie, choć nieco ostrzejszy od naszego, ma z nim pewne wspólne cechy, a w szczególności niską temperaturę na biegunach, a znacznie wyższą — na równiku. Na Marsie nie dostrzeżono dotąd żadnych łańcuchów górskich. Te dwa momenty sprzyjają powstawaniu bardzo mocnych wiatrów, zwanych na Ziemi passatami. Wiatry te na gruncie marsjańskim, pokrytym głębokimi warstwami pyłu wulkanicznego, żłobią głębokie i szerokie bruzdy, które od reszty terenu odróżniają się kolorytem. Jeżeli w ten sposób upadłaby zdaniem Laughlina „tajemnica" powstawania kanałów i ciągłych zmian w ich konfiguracji, to tym samym przestaje istnieć motyw doszukiwania się w nich dowodów na istnienie roślinności marsjańskiej.

Opozycja Fiesienkowa ma inne przyczyny. Oto jego zdaniem „albedo" (białość) obszarów pokrytych roślinnością, jest na Marsie zbyt wielka. Przez „albedo" rozumie się stosunek „energii świetlnej rozproszonej przez oświetlone ciało we wszystkich kierunkach — do energii padającej" (oczywiście od Słońca). Jeżeli kanały i morza marsjańskie są pokryte roślinnością, która pochłania bardzo wiele energii promienistej Słońca, to albedo kanałów nie może być mniejsze od albedo podobnych miejsc na Ziemi.

Nie czytałem wspomnianej pracy Fiesienkowa, więc nie znam dosłownego brzmienia jego oświadczenia. Wedle prof. Zonna Fiesienkow ma twierdzić, że (cytuję): „obszary martwe na każdej planecie wypromieniowują c a ł e padające na nie promieniowanie słoneczne, a obszary „żywe" część tej energii magazynują..." Otóż twierdzenie, iż obszary „martwe" czyli niepokryte roślinnością wypromieniowują „c a ł e" padające na nie promieniowanie, jest stanowczo — b ł ę d n e! Nikt nigdy nie odważył się twierdzić, że powierzchnia Księżyca nie jest martwa. Tymczasem jego albedo wynosi 0,073. To znaczy, zaledwie nieco więcej ponad 7 procent światła słonecznego Księżyc odbija, a „reszta jest pochłaniana i idzie na ogrzewanie jego powierzchni" (Russel, Astronomy, str. 174).

Wróćmy jednak od kwestii czysto astronomicznych do zagadnienia życia w przestrzeni Wszechświata. Upadło mniemanie, że Ziemia jest środkiem świata i że ma jakieś wyjątkowe położenie, zwłaszcza odnośnie krzewiącego się na niej życia organicznego. Astronomowie przyjmują, że istnieją biliony Słońc otoczonych orszakami planet, a co najmniej liczne miliony planet, zupełnie podobnych do naszej Ziemi pod względem wszystkich warunków potrzebnych do powstania życia organicznego, które rozwój mógł doprowadzić do powstania istot mądrych jak człowiek, lub tak dalece rozumniejszych od człowieka, iż w ich oczach, jak mówi prof. Zonn, „nasza inteligencja i wiedza będą tym, czym jest inteligencja psów lub małp w oczach człowieka...!

Nie mając nic do zarzucenia takiemu postawieniu sprawy życia we Wszechświecie, gdyż należy to uważać za zupełnie możliwe, pragnę jednak dodać tu jedno, z pewnością niezwykle i ciekawe ograniczenie. Każdy przyzna, że najmądrzejszemu psu lub najrozumniejszej małpie nie przychodzi na myśl wysyłać telegram na Księżyc, budować stos atomowy lub zakładać Komitet dla spraw lotów międzyplanetarnych. Jeżeli tylko takie trzy momenty przyjmiemy dla ustalenia stopnia naszej inteligencji i więzy w stosunku do psa i małpy, to niezawodnie ku naszej niechybnej satysfakcji musimy stwierdzić, iż różnica dzieląca nas od owych sympatycznych stworzeń jest po prostu — olbrzymia.

Gdyby więc w przestrzeni Wszechświata istniały istoty o tyle od nas mądrzejsze, jak my od psa i małpy, to niezawodnie należałoby przypuszczać, iż mają już rakiety międzyplanetarne, być może pędzone ciśnieniem światła, którymi z prędkością niemal tego światła podróżują przez kosmos już dawno przez nich „podbity". Mają niezawodnie teleskopy o 500-metrowej średnicy i aparaty telewizyjne, którymi oglądają przestrzeń z taką łatwością, jak my Dymszę na ekranie. Dlaczego nie dali się nam dotychczas poznać? Czyżbyśmy mieszkali od nich za daleko? O setki i tysiące lat świetlnych, wymagających setki i tysiące lat czasu do odbycia podróży rakietowej nawet z prędkością niemal — świetlną?

Te niezwykłe istoty niezawodnie już zwalczyły śmierć albo co najmniej cieszą się matuzalemową długowiecznością! Jechać do Ziemi sto lat tam a sto z powrotem, to — czysta fraszka dla tych tytanów natury i wiedzy. A jednak — dotąd nie przyjechali i nie złożyli nam wizyty. Zapewne nie jest łatwo odkryć taki pyłek w przestrzeni, jak ten drobiazg, który nazywa się Ziemią! Ale przecież można wysyłać telegramy radiowe! Można nadawać sygnały świetlne, widzialne na olbrzymie odległości, gdy się jest o tyle mędrszym od nas, jak my — od naszych Azorków i małpek.

Oczywiście optymista powie: A może zorza północna — to sygnały świetlne od dalekich a mądrych kuzynów? A może fale radiowe dochodzące nas z przestrzeni Galaktyki — to również znaki życia od tych istot? Niestety, te zjawiska są związane z pewnymi przyczynami naturalnymi, pochodzącymi od przyrody nieożywionej.

Jakiż tedy z tego wszystkiego wniosek? Jeden i napewno nieodparty. W najbliższym sąsiedztwie układu słonecznego, w promieniu dwudziestu lat świetlnych, gdzie znajduje się około 40 słońc podobnych do naszego — brak napewno owych supermądrych istot. I może dlatego niektórzy poeci tak się tym martwią, że Ziemia jest straszliwie „osamotniona" w przestrzeni.

EUSTACHY BIAŁOBORSKI

Odpowiedź ob. Białoborskiemu

Treść listu Ob. Białoborskiego, a zwłaszcza jego ostatnie ustępy stwarzają nastrój raczej wesoły. Nie potrafię więc zdobyć się na ton poważny i proszę czytelników o wybaczenie.

Jest rzeczą najoczywistszą, że autor artykułu popularnego nie chce z niego zrobić jakiegoś wyjątku z encyklopedii. Spośród wielu koncepcji naukowych dotyczących omawianego zagadnienia wybiera zazwyczaj jedną lub dwie i te właśnie koncepcje przedstawia w swym artykule. Zarzut zatem, że nie wspomniałem i o tym i o owym jest oczywiście niesłuszny. Tym bardziej, że „uzupełnienia" Ob. Białoborskiego dotyczą głównie nazwisk, nie zaś koncepcji. Pisząc o Slipherze wspomina tylko, że zrobił tyle a tyle tysięcy zdjęć, że miał wielu ludzi do pomocy i koniec na tym. Ważne chyba (z punktu widzenia Ob. Białoborskiego), że „trzymał stronę" Tichowa (lub Tichow trzymał stronę Sliphera). Tak jak gdyby nad sprawą życia na Marsie odbywały się jakieś głosowania... Zabawne...

Dalej następuje zarzut „naukowy" wynikający niestety z tego, że autor chyba nie zastanowił się nad tą sprawą. Pojęcie albeda odnosi się wyłącznie do promieniowania w dziedzinie w i d z i a l n e j, a nie do całego zakresu długości fal. W pojęciu tym wyklucza się zatem promieniowanie o dużej długości fali, które emitują w s z y s t k i e ciała (o temperaturze wyższej od zera absolutnego). Mówiąc o tym że obszary martwe wypromieniowują całą otrzymywaną energię, miałem oczywiście na myśli promieniowanie o wszystkich długościach fali. Nie trudno to zrozumieć. Bo przecież gdyby istotnie obszary te wypromieniowywały tylko mały ułamek energii, resztę zaś z a t r z y m y w a ł y, jak twierdzi autor listu, (opatrznie rozumiejąc wyjątek z pewnego podręcznika, który to podręcznik ujmuje z konieczności pewne rzeczy niezbyt ściśle) bylibyśmy świadkami wprost niebywałych zdarzeń!

Przyjmijmy zgodnie z autorem listu, że np. powierzchnia Księżyca wypromieniowuje tylko 7% padającej na nią energii (promieniowania słonecznego) resztę zaś — 93% — zatrzymuje. Odbywa się zatem na Księżycu komasowanie energii z roku na rok, z tysiąclecia na tysiąclecie. Łatwo obliczyć, że ilość tej skomasowanej energii w ciągu całego czasu istnienia Księżyca (kilka miliardów lat) sięgałaby zawrotnych liczb. I jeśli, jak twierdzi Ob. Białoborski, przyjmowałaby ona formę ciepła, to temperatura na powierzchni Księżyca i wszystkich planet sięgałaby miliardów stopni. Księżyc i planety (w tej liczbie Ziemia) dawno by się zamieniły w najgorsze gwiazdy...

NA MARSIE

Jeśli wychodzi tam pismo — to muszą żyć i ludzie!

A jeśli tak nie jest, to należy wywnioskować, że jakąś drogą energia pierwotnie pochłonięta ucieka i z Księżyca i Ziemi i z wszystkich planet. Drogą tą jest (jak dobrze wiemy z podręczników fizyki na szkoły podstawowe) promieniowanie cieplne (długofalowe). I o nim oczywiście głównie myślałem, pisząc, że obszary martwe wypromieniowywują całą energię na nią padającą. Sądzę, że autor listu zrozumiał teraz o co chodzi?

Przechodzę z kolei do omówienia ostatniej części listu, która istotnie wydała mi się najzabawniejsza. Autor twierdzi, że w promieniowaniu 20 lat światła nie ma życia w formie doskonalszej od nas, ponieważ nigdy jeszcze nie byliśmy zaszczyceni wizytą tych domniemanych istot wyższych z innego świata. Dziwny argument, na który nigdy by nie wpadł żaden astronom! Bo autor patrzy na tę całą sprawę wybitnie ze „swojego" punktu widzenia. Wyższa istota w jego pojęciu jest to taka, która umie budować 500 metrowe lunety i podróżować w kosmosie. Jednym słowem jest wyższa pod względem techniki... Jak gdyby technika wyczerpywała wszystkie dziedziny postępu i była najwyższą doskonałością. A przecież może ci szanowni mieszkańcy innej planety rozwijają się „po innych zupełnie liniach". Może są znacznie od nas wyżsi pod względem rozumienia spraw biologicznych, lub humanistycznych. Może sztuka jest ich głównym osiągnięciem i drogą do doskonałości? Może warunki bytowe tych istot układają się w taki sposób, że sprawy techniki nie są dla nich niczym istotnym?

Ci, co „trzymają stronę" Tichowa mogliby przytoczyć jeszcze szereg innych argumentów, typu Białoborskiego. Np. to że prawdopodobnie mieszkańcy innych planet przez swoje 500 metrowe teleskopy i cudowne aparaty telewizyjne obserwują od dawna Ziemię i widzą, co się od czasu do czasu na niej dzieje, uważają nas słusznie za barbarzyńców (strzelają do siebie, wysadzają całe miasta, trują gazami!) i dlatego odkładają tę wizytę. Mnie zaś osobiście najprawdopodobniejsze wydaje się przypuszczenie, że przez ich cudowne aparaty mogą oni czytać nasze pisma i tygodnik POPROSTU, czytając zaś tę tak bardzo interesującą polemikę, jaką my w tej chwili prowadzimy, odkładają swoją podróż do czasu aż ludzie trochę zmądrzeją. I dlatego szybko tę polemikę kończę.

WŁODZIMIERZ ZONN

Amerykańskie refleksje

(Dokończenie ze str. 1)

dlaczego napadł z innymi na starego Murzyna, powiedział: „Zaczepialiśmy zawsze starszych albo słabszych. Wówczas czuliśmy się wielcy i silni". Oto Studs Lonigan roku 1954. Oto do czego dochodzi młodzież gdy chce w USA czuć się „wielką i silną", oto odpowiedź na niepokojącego pytanie „co robić", kiedy perspektywa, którą stwarza otaczające tych chłopców środowisko, jest niewystarczająca, nudna, mija się z ich potrzebą przygody, romantyzmu, ideału.

U nas również istnieje problem chuligaństwa, bandytyzmu wśród młodzieży. Ale młodzież nasza wyrastała w okresie okupacji, łapanek, ghett i obozów. Jest to młodzież kraju, w którym dokonany został przewrót społeczny, połączony z przerzuceniem wielkich mas ludzkich ze wsi do miasta, ze wschodu na zachód; kraju, w którym często przestały działać stare więzy moralne a jeszcze nie działają w pełni nowe; wreszcie kraju o ciągle jeszcze zbyt niskiej stopie życiowej.

W Stanach Zjednoczonych nie ma, jeśli można tak powiedzieć, tych okoliczności łagodzących. Stosunki są tam względnie ustabilizowane. Nasilenia przestępczości w USA nie można tłumaczyć inaczej, niż właśnie degeneracją mieszczaństwa, degeneracją mieszczańskich ideałów, pustką życia.

Problem ten wywołuje wiele niepokoju wśród wychowawców a nawet kół rządzących USA. Raz po raz podejmowane są próby zwalczania pornografii i zbrodniczości w comicsach, telewizji itd., ale próby te — jak dotąd — nie dały żadnego wyniku, gdyż w tym businessie zaangażowano zbyt dużo pieniędzy. Próbuje się też tworzyć w środowiskach młodzieżowych, w szkołach i uniwersytetach jakieś namiastki życia ideowego.

Amerykańskie wychowanie nie składa się oczywiście z samych audycji kryminalnych. Cnoty takie jak koleżeńskość, miłość do rodziny, religijność, patriotyzm — są nawet bardzo gorliwie propagowane przez nauczycieli, często ludzi w tym ograniczonym sensie ideowych, a nawiasem mówiąc, najgorzej chyba w USA płatnych. Czy te ideały wystarczą, czy nie znikają w zetknięciu z rzeczywistością pełną obłudy, korupcji, gonitwy jedynie i wyłącznie za dolarem? Trudno mi na to odpowiedzieć.

O POZIOMIE NAUCZANIA

W tym, co dotąd napisałam, nie ma pokrycia mego przekonania, że mimo wszystko młodzież amerykańska jest sympatyczna. Lecz prawda o tym fakcie, że naród, lud, zawsze i wszędzie jest z natury raczej dobry, sympatyczny — nie zatrzymała się przecież u wybrzeży Atlantyku, nie potrzebuje wizy wjazdowej. I poza tym milionem przestępców i ogromną ilością młodzieży o poziomie moralnym niewiele wyższym — istnieją przecież miliony innej młodzieży.

Poziom nauczania w szkołach a nawet na uniwersytetach jest bardzo niski. W szkolnictwie średnim istnieje dziwna teoria i praktyka, obecnie zresztą dyskutowana i zwalczana przez część wychowawców. Otóż szkoła amerykańska utrzymuje ogół uczniów świadomie na niskim poziomie i otacza specjalną opieką kilku najzdolniejszych. Jest to jakiś swoisty „führerprinzip", bardzo charakterystyczny dla amerykańskiego wychowania, w którym jeszcze na długo przed maccarthyzmem i faszystowskimi ustawami antykomunistycznymi tkwiły jakieś elementy faszyzmu. Są to zasady wodzostwa, ideał człowieka silnego, uwielbienie dla sukcesu, obojętnie jakimi drogami osiągniętego. Ten system wychowania sprzyja co prawda tworzeniu jakiejś wąskiej kadry na wysokim poziomie, ale resztę utrzymuje na poziomie raczej infantylnym.

Młodzież amerykańska, przy całej ogromnej cywilizacji technicznej, przy tym, że pod niektórymi względami zaczyna bardzo wcześnie żyć jak dorośli — 14-letnie dziewczynki malują się i uczęszczają do lokali nocnych, a 14-letni chłopcy zarabiają pieniądze — jest zdumiewająco naiwna w porównaniu z młodzieżą europejską. Wszyscy inteligenci europejskiego pochodzenia, których poznałam w Nowym Jorku, mówili mi, że poświęcają dużo czasu dokształcaniu swoich dzieci w domu, gdyż szkoła je ogłupia.

Niewiele lepiej jest na uniwersytetach. Trzeba tu rozróżnić zresztą fakultety nauk ścisłych od humanistycznych. Te pierwsze stoją na wysokim poziomie. Jest charakterystyczne, że i tu dobrze płatne są kadry pracujące nad badaniami w laboratoriach utrzymywanych na ogół przez koncerny, podczas gdy profesorowie - wykładowcy, pedagodzy, są z reguły źle płatni i co za tym idzie — o mniejszych kwalifikacjach. Natomiast nauki humanistyczne na ogół stoją na bardzo niskim poziomie. Widziałam p o d r ę c z n i k u n i w e r s y t e c k i, składający się z... pytań i gotowych odpowiedzi. Nie zostawia on żadnego marginesu na jakąś samodzielność czy w ogóle — myślenie. Zresztą poziom uniwersytetów jest bardzo różny; w Nowym Jorku i innych wielkich miastach jest oczywiście wyższy.

Istnieją jednak na prowincji uczelnie mieniące się uniwersytetami, a nie mające nic wspólnego z uniwersytetem w naszym pojęciu. Wykładowcami są czasem wręcz szarlatani, zaś program nauczania zależy od władzy stanowej czy miejskiej lub fundacji, która opiekuje się uczelnią. Poświęca się tam znacznie więcej uwagi sportowi niż nauce; najwybitniejszym z profesorów jest właściwie trener footbalowy, a studentem nagradzanym i przynoszącym uczelni chwałę — najlepszy gracz. Nie zamierzam ironizować z tego powodu — co kraj to obyczaj i nie mam nic przeciwko sportowi — chcę tylko zaznaczyć, że liczba studiujących w USA (wysoka, bo wynosząca ponad 6 mln) nie daje pojęcia o liczbie fachowców ze studiami uniwersyteckimi. Bardzo często w ten sposób dzieci zamożnych domów chcą po prostu spędzić kilka lat nie wiążąc bynajmniej ze studiami swych planów zawodowych.

CO MI SIĘ PODOBAŁO?

Pytano mnie często w kraju, czy dzieci robotników i chłopów mają dostęp do uniwersytetów. W zasadzie nie ma przeszkód, jednak jest tej młodzieży na uniwersytetach bardzo mało. Nie tylko ze względu na opłaty, istnieje bowiem nawet pewna ilość stypendiów, która umożliwia studia niewielkiej ilości niezamożnej młodzieży. Opowiadano mi, że często młodzież robotniczego pochodzenia odpada z uniwersytetów, nawet jeśli może sobie pozwolić na studia. Tu już zaczyna działać pewnego rodzaju snobizm — młody człowiek źle się czuje w środowisku, w którym inni mogą sobie pozwolić na niedostępny dla niego tryb życia — samochody, eleganckie stroje, wydawanie pieniędzy. Jeśli w Stanach — co jest jedną z ich sympatycznych cech — nie działa nierówność pochodzenia społecznego, to bardzo dotkliwie odczuwana jest nierówność stwarzana przez pieniądz. Zresztą, jeśli idzie o młodzież robotniczą, to często nie garnie się na uniwersytety z innej jeszcze przyczyny — ukończenie uniwersytetu wcale nie gwarantuje wyższej płacy. Nie ma w społeczeństwie amerykańskim — z wyjątkiem wąskiego koła — snobizmu studiów. Businessman jest znacznie bardziej poważany od profesora, intelektualista jest raczej śmieszną figurą i nie cieszy się poważaniem jak w Europie — chyba że ma wielkie powodzenie i jest bardzo znany.

Młodzież amerykańską, tak jak całe społeczeństwo amerykańskie, cechuje pewien mieszczański demokratyzm, różniący ją dodatnio od burżuazyjnej młodzieży Europy. Zdarza się często, że student, nawet ze stosunkowo zamożnego domu, dorabia sobie na wakacjach jako kelner czy grajek w orkiestrze jazzowej. Jest to pozostałość jeszcze pionierskich czasów USA, kiedy wartość społeczną człowieka określała jego umiejętność dawania sobie rady w życiu. Dawać sobie radę — oznacza dziś — mieć pieniądze. Jest to cecha i dodatnia i ujemna. Dodatnia — gdyż rodzi przedsiębiorczość i samodzielność, ujemna — bo nawet u małych dzieci czyni z pieniądza naczelną ideę życia.

Formy życia codziennego w USA są demokratyczne. Nie ma pogardy dla żadnej pracy, ludzie z miejsca nazywają się po imieniu i łatwo się zaprzyjaźniają, nie tracą czasu na konwenanse, zachowują się swobodnie. W stanach, w których nie ma segregacji rasowej w szkołach, jak np. w Nowym Jorku, często można spotkać młodzież „białą" i murzyńską razem — w przeciwieństwie do dorosłych.

MŁODZIEŻ NIE JEST BEZIDEOWA

Życie kulturalne i umysłowe młodzieży jest raczej ubogie. Nie należy oczywiście sądzić, że młodzież amerykańska wyłącznie czyta comiscy lub ogląda tylko filmy gangsterskie. Książki znanych pisarzy amerykańskich osiągają nakłady idące w sto i kilkaset tysięcy. O pisarzach europejskich, z wyjątkiem kilku klasyków, amerykańska młodzież prawie nic nie wie. Ale rzadko się zdarza, aby problemy literackie, kulturalne czy moralne były przez młodzież namiętnie przeżywane; „digesty" i zalew trzeciorzędnej literatury rozrywkowej podsuwają „życie ułatwione", bezproblemowe — szkoła i uniwersytet, prasa i propaganda dają gotowe rozwiązania.

Mimo to byłoby błędem twierdzić, że młodzież amerykańska jest bezideowa. Nawet wielu komunistów amerykańskich razi fakt, że my mówiąc o amerykańskim stylu życia mamy na myśli wyłącznie gumę do żucia i kładzenie nóg na stole, gdyż bądź co bądź jest to zjawiskiem nie pierwszorzędnej wagi. Dla młodzieży USA amerykański styl życia oznacza coś więcej: pewne tradycje wolnościowe, z których jest dumna i które pragnęłaby utrzymać.

Maccarthyzm wywarł oczywiście duży wpływ na młodzież amerykańską. Część z niej sfaszyzował. Zresztą w stanach południowych zawsze rozwijały się na pożywce rasizmu i Ku Klux Klanu objawy ohydnego zdziczenia. Trudno mi powiedzieć czy wzrosło ono w latach powojennych. Jest natomiast faktem niewątpliwym, że terror powojenny sparaliżował środowiska młodzieżowe zwłaszcza w szkołach i na uniwersytetach w tym sensie, że nie ma na dużą, ogólnokrajową skalę zorganizowanego oporu przeciwko maccarthyzmowi. Zdarza się często, że w obronie prześladowanego profesora stają inni profesorowie, a rzadko — studenci.

Postępowe organizacje polityczne — obok komunistycznej Ligi Młodzieży — istnieją w kilku dużych miastach, przeważnie przy uniwersytetach. Ruch pokoju jest w znacznej mierze popierany przez młodzież. Jeśli młodzież amerykańska nie dojrzała jeszcze do masowego wielkiego oporu, to jednak jest faktem niewątpliwym, że istnieje wśród niej ogromna niechęć do maccarthyzmu i terroru.

Gdy w ubiegłym roku sąd najwyższy wydał orzeczenie, że segregacja w szkołach jest sprzeczna z konstytucją — orzeczenie, które, jak wiadomo, pozostało przeważnie na papierze — młodzież wielu uniwersytetów, w tym waszyngtońskiego, przyjęła je z entuzjazmem. W stanach południowych, gdzie orzeczenie to wywołało falę dzikich, faszystowskich akcji, można było zaobserwować również fakty pocieszające. Bo jeśli w jakimś miasteczku „biali" ogłaszają strajk szkolny, gdyż nie chcą siedzieć obok Murzynów i 1000 uczniów strajkuje, a 600 przychodzi do szkoły, to trzeba widzieć nie tylko owych 1000 strajkujących, ale również tych 600, którzy przyszli. W dzisiejszych USA jest to już czyn polityczny.

Czy wojenna polityka kół rządzących USA wywiera wpływ na młodzież? Niewątpliwie — tak. Co prawda Howard Fast opowiadał mi, że w okresie wojny koreańskiej wygłosił ponad 200 odczytów przeciwko tej wojnie. Gdybym — powiedział — protestował gdzieś publicznie przeciw wojnie z faszyzmem hitlerowskim, rozszarpanoby mnie na miejscu. — A więc i Amerykanie potrafią odróżnić wojny sprawiedliwe od niesprawiedliwych.

*

Ale młodzież amerykańska jest politycznie naiwna i łatwowierna, zdana całkowicie na propagandę burżuazyjną, gdyż nie zetknęła się w ogóle z inną myślą, niż oficjalna. Spotkałam wielu sympatycznych młodych ludzi, którzy z wściekłością mówili o Mac Carthym i ograniczeniu wolności w USA, ale jednocześnie byli przekonani, że bazy amerykańskie w Azji rzeczywiście służą tylko wolności i ludzkości.

Jeszcze jedna cecha jest niepokojąca u młodzieży amerykańskiej. Przywiązanie do swego kraju przerodziło się u niej w przekonanie o wyższości wszystkiego co amerykańskie, w jakąś świadomość „herrenvolku". Jest to na ogół w przeciwieństwie do hitlerowskiego „herrenvolku" dobroduszny — przekonany o tym, że rząd amerykański pragnie jedynie i wyłącznie uszczęśliwić świat. Inne narody, tłumaczył mi kiedyś pewien student, nie umieją tak mądrze żyć jak my, musimy je więc tego uczyć.

Od tej świadomości „posłannictwa" do zbrodni wojennej droga niekoniecznie musi być daleka. Z drugiej jednak strony ostatnie lata wykazały, że próby faszyzacji życia amerykańskiego, nieodłączne od polityki wojennej, nie znalazły podatnego gruntu właśnie wśród młodzieży.

EDDA WERFEL

WIESŁAW KONSTANCIAK

Wspomnienia ZE STUDENCKICH LAT

Do małej, prowizorycznej przystani zbliżała się żaglowa łódź. Widocznie sternik znał doskonale miejsce, bo pomimo dość silnego wiatru i egipskich ciemności pewnie wprowadził jolkę pomiędzy pochylone nad wodą drzewa. Czterech mężczyzn — absolwentów jednej z warszawskich uczelni — szybko uporządkowało łódź i skierowało się do stojącego nad jeziorem filigranowego, krytego trzciną domku.

Wkrótce minie 10 lat od ich pierwszego przyjazdu na Mazury, od pierwszego studenckiego obozu w Mikołajkach. Rokrocznie spędzają tu urlop zaprzyjaźnieni z miejscową ludnością, zakochani we wspaniałym krajobrazie, w jeziorach, w żeglarskiej włóczędze.

— Figa napali w kominku, Puchatek zrobi herbatę i wymyje dokładnie kubeczki, Wuj Wężyk zaraz oskrobie rybki, a ja będę czuwał nad całością — Witek sprytnie rozdzielił pracę, zamiótł podłogę i rozłożył na niej koc.

Żelazny piecyk gadał palącym się drzewem, zdawałoby się zachęcał do pogwarki, do wspomnień. Rozsiedli się zwróceni twarzami do ognia.

— Ile razy płynę koło naszego dawnego obozu, zawsze muszę się zagapić, dzisiaj też zapomniałem o sterze i niewiele brakowało, a wpadłaby na nas boja.

Wujcio Wężyk dorzucił:

— W trzynastym pokoju obok werandy paliło się jeszcze światło...

— Słyszałem, że z tym trzynastym pokojem miałeś kiedyś feralną pierepałkę. Nie krępuj się Wuju. Żąda tego historia i ja, opowiedz...

Przeraźliwy falset Puchatka wywołał uśmiech nawet u zamyślonego Figi.

Wujcio Wężyk popijał drobnymi łyczkami herbatę trzymając oburącz wielki fajansowy kubek...

Opowieść Wujka Wężyka

Pamiętacie drugi turnus z 1947 roku? Zjechało wówczas po kilkanaście osób ze wszystkich prawie warszawskich uczelni. Ciekawy turnus — przypatrywałem mu się uważnie a nawet z odrobiną niepokoju.

Przyjechali chyba w środę, nie pamiętam już dobrze, dość, że w sobotę wieczorem było po całym bałaganie związanym z dobieraniem pokoi i współlokatorów. Siedziałem nad wędkami i szykowałem się na niedzielę na Śniardwy. W obozie cicho, w świetlicy pusto, a mój współlokator, Dziki, pojechał bratniackim Harleyem z Panią Doktor do chorego. Mieszkaliśmy wtedy na górce w małym domku „administracyjnym".

Nagle słyszę jak ktoś jak wariat wali po schodach przeskakując po kilka stopni. Ledwie zdążyłem pomyśleć, że coś musiało się stać, a ten już puka i nie czekając wchodzi, a raczej wpada. Zatrzymał się przy drzwiach wzburzony, podniecony, zdenerwowany, zasapany, czerwony jak burak. Zdaje się, że był z SGH. Złapał głęboki haust powietrza i jednym tchem wyrzucił z siebie:

— Kolego kierowniku, moją narzeczoną gwałcą!

Przyznaję, że zastrzelił mnie tym. Musiałem mieć głupią minę, choć wiecie przecież, że byłem przygotowany na różne wyczyny. Ale dalibóg z gwałtem do tej pory nie miałem do czynienia.

Szybko naciągnąłem na piżamę pierwsze lepsze spodnie. Przez głowę przelatywały mi podejrzliwe myśli: wszystko możliwe, zbieranina, turnusu nie znam, dziś sobota, dopiero początek obozu, mają jeszcze forsę, na pewno przynieśli wódkę, dam ja im gwałty psiakrew! Wreszcie opanowałem się nieco i pytam fuksiaka rzeczowo:

— A gdzie to się dzieje kolego? Gdzie ją gwałcą?

Ten mi na to bez zająknienia, że w trzynastce i już uchyla drzwi i przestępuje z nogi na nogę. Krew mnie zaczęła zalewać, bo potrąciłem pudełko z haczykami i wysypałem je na podłogę, gdzie leżała misternie powiązana w zwoje cienka żyłka na płocie. Złapałem z tego wszystkiego za grubszy koniec bambusowego wędziska, lecę za fuksiakiem i myślę: na razie tym kijem, nauczę ich szacunku dla płci, a później zobaczymy!

Nie wiem czy sprawiło to chłodne powietrze, czy fakt, że w nocy nie widziałem szalonej twarzy fuksiaka, dość, że po drodze zacząłem trochę spokojniej zastanawiać się nad całą sytuacją. Myślę sobie: w trzynastce, w werandowym, z trzech stron oszklonym pokoju? Nie było lepszego miejsca? Czy to aby możliwe, czy przypadkiem nowi nie próbują zrobić ze mnie balona i jak dotąd świetnie im się udaje? Ale dramatyczne „Kolego prędzej"!!! naszego fuksiaka było tak prawdziwe, że natychmiast porzuciłem swoje rozważania i leciałem za nim na złamanie karku.

Wpadliśmy na schodki werandy. Trochę odsapnąłem, uporządkowałem — jak mówił Porfirion — „swoje życie duchowe", fuksiakowi kazałem czekać, sam zaś zapukałem przygotowany na najgorsze.

W odpowiedzi usłyszałem z pokoju trochę jakby niechętne: „proszę". Wszedłem dość energicznie dzierżąc wędzisko, a tu widzę: siedzą sobie oni przy stole, co prawda dość blisko jak na pierwsze dwa dni turnusu, co prawda ona w niezbyt starannie zapiętej (za to twarzowej) bluzce — ale poza tym, jakby powiedziała Pani Doktor „wyraźnych śladów gwałtu brak". Przed nimi butelczyna jakiegoś sikacza, dwa kubki, a na talerzykach pierniki i kilka gruszek ułożonych w piramidkę.

Rozglądam się po pokoju — czysto, łóżka posłane, na nocnych stolikach spokojnie stoją w poobtłukiwanych butelkach od piwa świeże świerkowe gałązki... Zrobiło mi się trochę nieswojo. Przeleciało mi przez głowę, że może przyszedłem po niewczasie. Znów spojrzałem na nich okiem detektywa. Nie. Niemożliwe. Szlag mnie trafiał, że zostałem ofiarą zazdrosnej imaginacji tego za drzwiami, pytam jednak uprzejmie, ale urzędowo:

— Przepraszam bardzo, czy ja koleżance nie jestem potrzebny?

Spojrzała na mnie unosząc brwi tak wysoko w górę, że nawet Porfirion zrozumiałby bez trudu jej absolutne i całkowite zdziwienie. A później rzuciła gdzieś przed siebie w stronę tej niedopitej butelki:

— Nie, kolego.

Tak właśnie powiedziała, ale z intonacji można się było domyśleć, że nie tylko jestem jej niepotrzebny, ale ona nie rozumie skąd się wziąłem i że w tej chwili jestem tu najzupełniej zbędny. Wybąkałem, że jest jednak godzina jedenasta, że na ogół o tej porze koleżanki przebywają w swoich pokojach, że nie robimy z tych rzeczy żadnych kwestii ale... no i wreszcie przeprosiłem ich najgrzeczniej jak umiałem, pożegnałem i jak zmyty wyszedłem. Wyobrażacie sobie jaki byłem wściekły.

Ledwie znalazłem się na schodach werandy a niedoszły mąż był już przy mnie.

— No i co kolego? No i co? — pytał biedaczyna drżącym głosem. — Zdążył kolega?

— Nie tylko zdążyłem przyjacielu, ale nawet przyszedłem znacznie przed czasem. A panu radzę nie zawracać mi głowy po nocy i raczej wykorzystać letni wieczór na szukanie nowej narzeczonej.

Wróciłem do pokoju zbierać rozsypane haczyki.

Witek wyciągnął zmiętoszone „Giewonty". Od ognia szło miłe, rozleniwiające ciepło. Po opowiadaniu Wuja zrobił się nastrój na wspominki. — Puchatek już otwierał usta, gdy uprzedził go Witek.

Tragedia z Happy Endem

Pamiętacie szalonego dziennikarza? Wuj to pamięta, bo był wówczas z nami — powiedział Witek — ale Puchatek i Figa pojechali remontować szkołę w Zdorach. W każdym razie to był numer nie z tego świata. Od razu na początku turnusu Barłoga jako instruktor żeglarstwa i komandor flotylli przeprowadzał egzamin dla tych wszystkich, którzy w jego sławnych ankietach zeznali, że potrafią żeglować. Towarzystwo dobierało się załogami i tuż przed pomostem pokazywało Barłodze co umie.

Barłoga siedział wysoko na skoczni, fajtał nad wodą nogami i kazał im robić różne zwroty, odbijać, przybijać, jednym słowem sprawdzał prawdziwość ankietowych zeznań.

W końcu Barłoga przeegzaminował tych z pomostu i trzymając w ręku swoje ankiety zaczął się rozglądać za ostatnią załogą. Widzieli to dobrze, a mimo wszystko jeszcze siedzieli na brzegu. „Wacka" stała przycumowana, bez foka, grot spuszczony i popisowo sklarowany przez ostatnią załogę: miecz w górze, cumki ułożone na piątkę z plusem. Aż prosi się, żeby odbijać. A ci nic tylko siedzą. Zbliżało się południe. Przyszło mi do głowy, że czekają, aż wiatr całkiem spuchnie. Na górze Barłoga raz jeszcze obliczył swoje ankiety i doszedł do rewelacyjnego wniosku, że zapodziała mu się jedna piątka. Po tej wyczerpującej pracy myślowej wstał, oparł się o barierkę i wreszcie ich zobaczył.

— A wielmożni panowie czekają na stworzenie świata, czy może na kelnera? — zauważył wnikliwie. Wtedy oni, znów nic do siebie nie mówiąc, powlekli się do łajby.

Barłoga, widocznie pod wpływem reminiscencji związanych z ostatnią uwagą, odwrócił się twarzą w tę stronę, gdzie na horyzoncie, w panoramie miasteczka powinien tkwić „Continental — bar" i ryknął czule głosem feldfebla:

— Postawić grot! Odcumować! Odbić! Kilka zwrotów! Przybić! Sklarować łódź!

Chwilę jeszcze spoglądał w siną dal trzymając pieczołowicie w ręku ankiety i ostrożnie zaczął schodzić ze skoczni.

Tamci w międzyczasie postawili grot, odwrócili łajbę dziobem do wiatru i odbijali. Kaczor siedział przy sterze, a reszta koło niego w kucki w środku pudła. Miny mieli rzadkie. Jak oni zrobili te zwroty, jak przybili, pozostanie ich tajemnicą, dość, że poszło im w miarę sprawnie. Gorzej było ze sklarowaniem łajby, ale Barłoga widząc, że długo majstrują przy szotach sam wskoczył do łodzi i na miejscu zrobił im wykład poparty praktycznym pokazem. Później żywo gestykulując i głośno rozmawiając zanieśli sprzęt. Następnego dnia wszystkie załogi dostały zadanie, pobrały prowiant i poszły w rejs. „Barłoga" i „Sowa", miały zdaje się zakładać biblioteki wiejskie po drugiej stronie Śniardw. „Wacka" bez zadań społecznych powędrowała ot tak, na spacer — w każdym razie marszruta przewidywała rejs do Ekertowa. Pogodę mieli świetną: słońce, lekki wiaterek i wspaniała widoczność. W nocy trochę dmuchało, ale równo i niegroźnie.

Zgodnie z marszrutą w trzy dni po wyjściu, około południa wróciła „Barłoga" a w godzinę później „Sowa". „Wacki" nie było. Pytaliśmy czy ich nie widzieli — owszem, widzieli wczoraj po południu. „Wacka" miała uszkodzony rumpel, ale nic poważnego. Podobno także przeciekała, widocznie wpakowali się na kamienie. Szli z Cylindrowa w stronę Czarciej Wyspy. Trochę nas zaniepokoiły te relacje, a głównie kierunek kursu „Wacki". Po diabła szli na Czarcią, kiedy mieli z Ekertowa przeskoczyć na Miałką, Kusnord potem w przesmyk i do chaty? Dość, że w obozie spragnionym sensacji zaczęto snuć różne domysły. Szczególnie dziewczęta wytwarzały atmosferę tragedii. O załodze „Wacki" mówiono w czasie przeszłym.

Kierownictwo, żeby mieć spokojne sumienie i aby urwać łeb szeptanej propagandzie wysłało natychmiast samochód do Ekertowa, a do Cylindrowa Ordynata na motocyklu. Na przesmyk zaś popłynęły łodzie, żeby obserwować z wody Śniardwy. W jednej z łódek sztywno sterczał sam Piętka wyposażony w wielką lornetę artyleryjską i hełm tropikalny, przepasany dwoma napompowanymi dętkami z samochodu ciężarowego, które utrzymałyby na wodzie dobrze odżywionego bawołu.

Załogi łodzi nic nie widziały, pomimo że Piętka na przesmyku bohatersko wdrapywał się na drzewo i stamtąd z właściwą mu pedanterią lustrował przez szkło jezioro. Samochód wrócił bez sukcesów — natomiast Ordynat dotarł przez bagna do Cylindrowa i przywiózł wiadomość, że załoga „Wacki" przed dwoma godzinami zjadła tam obiad i popłynęła w stronę obozu.

Pomyślny meldunek natychmiast ogłoszono. Napięcie znacznie spadło, sensacja złamała kark. Zrozumiałe, że większość z nas kręciła się koło przystani i ukradkiem spoglądała w stronę przesmyku. Czas biegł. Zbliżał się jednak wieczór i znów odżywała poprzednia atmosfera.

Zdecydowaliśmy zorganizować wyprawę. Wuj poprosił Rybacką Spółdzielnię o przysłanie kutra, załadowaliśmy ciepłe koce, dwa termosy herbaty, czekoladę, trochę spirytusu i hajda po nich na Śniardwy. Popłynęliśmy w trójkę: Staś, ten od Oli, Wuj Wężyk i ja. Kuter prowadził Willi, młody Mazur ze Spółdzielni. Za kilka minut byliśmy w przesmyku. Willi zasuwał na pełnych obrotach. Zaczynało zmierzchać. Postanowiliśmy iść lewą stroną Śniardw i przepatrzyć luklańską zatokę.

Zrobiło się zupełnie ciemno i popadywał drobniutki gęsty kapuśniaczek. Każdy z nas wiedział, że musimy ich znaleźć i przywieźć do obozu. W przeciwnym wypadku wybuchnie histeria. Kleliśmy czarną noc, deszcz i tych z „Wacki". W końcu doszliśmy pod brzeg na wysokości Cylindrowa. Podpłynęliśmy niezbyt blisko, bo tam jest chyba ze 30 metrów kamienistej mielizny. Mazur wpatrywał się w czarniejszą od nocy linię wysokiego brzegu i prowadził kuter równolegle do trzcin. On też pierwszy zobaczył wystający ponad trzciny kikut masztu.

Kuter stanął. Jak na komendę wyskoczyliśmy na przybrzeżną mieliznę. Ostrożnie, żeby nie pokaleczyć nóg o oślizgłe kamienie i ostre muszle, podchodziliśmy do łajby. „Wacka" stała na mieczu w rzadkiej trzcinie, prawie pełna wody, z byle jak zrzuconym mokrym grotem. Obraz nędzy i rozpaczy. Wiedzieliśmy, że załoga musi być na brzegu, pokrzykiwaliśmy na nich, ale bez skutku. Brodząc po mieliźnie dotarliśmy do lądu i tam właśnie zbita w gromadkę jak stadko przepiórek, pod okapem wysokiego brzegu siedziała załoga „Wacki" szczękając melodyjnie zębami. Nie chcieli za nic przejść przez mieliznę, dziewczęta przenieśliśmy, a płeć brzydka widocznie zżyta w czasie rejsu z piękniejszą częścią załogi, a do tego poganiana przez nas, dotarła samodzielnie do kutra.

Obóz pomimo spóźnionej pory nie spał, na pomoście jak posąg tkwiła Pani Doktor z nieodłączną wielką brezentową torbą. Ale nikt z załogi „Wacki" nawet nie dostał kataru.

Zdawało nam się, że koniec przygody. Tymczasem bomba wybuchła następnego dnia. Dwaj listonosze z miasteczka mieli piekielną robotę. Od południa do wieczora przynieśli do obozu kilkadziesiąt depesz. Urzędnicy na poczcie dwoili się i troili. Do naszej kancelarii raz po raz przychodzili wzywani obozowicze odebrać telegramy, które z reguły miały opłaconą odwrotną odpowiedź. Treść depesz była różna. Grzegrzołka dostał bardzo dowcipny telegram: „Oddepeszuj natychmiast czy ci nie potrzeba pieniędzy — matka". Biedny Grzegrzółka skakał z radości snując libacyjne horoskopy i z miejsca drżącą ręką odpisał: „Potrzeba — twój na wieki Grzegrzółka".

Większość depesz zawierała pytania o zdrowie i prośbę o natychmiastową odpowiedź. Z niektórych wyraźnie wynikało, że miał miejsce u nas tragiczny wypadek. Powoli zaczęliśmy domyślać się gdzie jest pies pogrzebany. A kiedy wieczorem do obozu zajechało kilka aut i wysiedli z nich przerażeni ojcowie naszych kolegów i koleżanek — Wujcio Wężyk zarządził dodatkową kolację dla przybyłych gości, my zaś wskoczyliśmy na motor i pojechaliśmy na pocztę. W tajemnicy pokazano nam tasiemcowy telegram wysłany przez uczestnika obozu — kolegę z wydziału dziennikarskiego zaadresowany do redakcji jednego z wieczornych warszawskich dzienników.

„Jezioro pochłania coraz to nowe ofiary stop grupa studentów z obozu w Mikołajkach wypłynęła żaglową łodzią celem przeprowadzenia akcji społecznej wśród miejscowej ludności stop na jeziorze zaskoczył ich sztorm stop w walce o życie z rozszalałym żywiołem studenci z godziny na godzinę wyczerpywali swe siły stop łódź która wpadła na podwodne skały uszczelniali wszystkim co było pod ręką stop na ratunek wyruszyły specjalne ekipy stop dotychczasowe poszukiwania nie dały rezultatów".

Zakląłem szpetnie. Telegram był nadany po powrocie Ordynata i ogłoszeniu, że załoga „Wacki" zjadła tego dnia, jak sądzę z apetytem, obiad w Cylindrowie i że spodziewany jest lada chwila powrót jolki.

W Warszawie następnego dnia ukazał się w jednym z dzienników pełny tekst depeszy zaopatrzony sensacyjnym tytułem. W obozie zwołano naradę kierownictwa. Kawał był podły, zatruł na kilka dni życie rodzicom i bliskim naszych kolegów i koleżanek. Uchwała zapadła wyjątkowo jednomyślna. Szalony adept sztuki dziennikarskiej opuścił obóz, a Grzegrzółka na próżno oczekiwał od swej dowcipnej mamy pieniężnej przesyłki...

— Tak, to był kawał w złym stylu — zawyrokował Puchatek — wolę już tragedię Waldusia.

— Mów, mów i tak cię nikt nie powstrzyma.

— Mów Puchatek, ty byłeś ojcem tragedii Waldusia i na tym powinno się skończyć twoje ojcostwo, jeśli kobiety nie zatraciły jeszcze wybredności.

Figa pokiwał głową spoglądając złośliwie na Puchatka.

Samobójstwo

Koncepcja wpadła mi do głowy już w pierwszych dniach — ciągnął szybko Puchatek bojąc się żeby mu nie przerwano — ale nie miałem wykonawców, nie zdążyliśmy się poznać ani zaprzyjaźnić. Z natury, jak wiecie, jestem nieśmiały, skryty i powściągliwy. Tak, właśnie powściągliwy — powtórzył. — Ale wyszło samo. Jak wszyscy zaczęli robić psikusy kierownictwu, musieliśmy i my się odegrać. Mnie Piętka wsadził miednicę z wodą w siennik i zmoczyłem sobie całe nerki. Fidze zrobili takie głupie zanzi-banzi, że przez trzy dni nie mógł doszukać się lewego buta, łóżka z pościelą i fotografii obecnej małżonki. Panowie pozwolą, że wstanę — wtrącił dżentelmeńsko. — Wreszcie przebrała się miarka, gdy w szóstce zrobili „grób kierownictwa" z katafalkiem, wieńcami i szarfami pt. „Nieodżałowanemu kierownictwu wdzięczni koledzy". Innych szczegółów nie pamiętam, ale wiem, że aby nie stracić autorytetu trzeba było rąbnąć mocny kawał.

A Walduś był skarbnikiem i podkochiwał się w Rudej, a Ruda podkochiwała się w Rajmundzie i Walduś był strasznie smutny, „nasze biedne jagniątko". Cztery osoby były wtajemniczone, poza Waldusiem i Rudą.

Więc Walduś zgodził się, jak mu zaproponowałem, żeby się z miłości do Rudej powiesił. My tymczasem robiliśmy klimat. Chodziło się tu i tam i w poważnym tonie współczuło biednemu Waldkowi, który nieszczęśliwie wpadł i tak strasznie przeżywa nieodwzajemnione uczucie.

„Waldek jest bardzo wrażliwy, chwilami lękam się o niego" — mówiłem Bożenie wiedząc, że za pięć minut wszystkie oczy przy obiedzie pilnie będą obserwować facjatę Waldeczka. Walduś siadał, brał do ręki łyżkę, mieszał nią w smacznej zupce, patrzył ponurym wzrokiem w talerz i odsuwał dyskretnie jedzenie. Robił to świetnie. Ktoś z nas prostacko starał się go rozweselić: „Co, rozparcelowali cię Waldeczku, że nie masz apetytu?" A ktoś inny dodawał: „Waldek dziś pości na intencję wyliczenia się z forsy".

Oburzone kobiety natychmiast uspokajały żartownisiów, dając do zrozumienia, że subtelna natura pozwala im w całej pełni zrozumieć zachowanie się kolegi skarbnika.

Drugie danie i deser odsuwał Walduś tym samym mistrzowskim gestem ponurej wzgardy. Jak on cudnie grał swą rolę! Fantasmagoria! Musiało go to wyczerpywać, bo później w pokoju kierownictwa rąbał podwójne porcje w szalonym wprost tempie.

Walduś przestał się golić, znikał od czasu do czasu, bądź też siadał na widocznym miejscu i gapił się w przestrzeń uduchowiony, nieziemski. Każdy widział, że Walduś powoli ale konsekwentnie zrywa z doczesnością. Czasami znów miotało nim potężne uczucie. Chodził energicznym krokiem tam i z powrotem z rękoma splecionymi na piecach, głowę opuszczał na piersi i toczył ze swą jaźnią nierówny bój. Powszechnie szeptano że z Waldusiem jest źle. Nawet zatwardziali sceptycy i Pani Doktor byli poruszeni.

Ruda tymczasem planowo przyśpieszała finał. Wieczorem w świetlicy lubieżnie tańczyła z Rajmundem same sentymentalne tanga. Po piątym czy szóstym tangu sam słyszałem jak Piętka powiedział o niej do Barłogi. „Wstrętna wydra! Bez serca i bez sumienia!"

Barłoga kiwnął potakująco głową i dodał na usprawiedliwienie Rudej: „Ale biodra ma w dechę". Po czym obydwaj wyszli.

Zbliżaliśmy się do kulminacyjnego punktu. Cały obóz żył tragedią Waldusia. A Waldek tak genialnie wczuwał się na każdym kroku w swoją rolę zawiedzionego kochanka, że miałem chwilami obawy, żeby się naprawdę nie powiesił. Rozdzieliliśmy zadania na popołudnie. Ruda znalazła „ostatni list". Z rozwianym włosem i z tym listem w ręku wydając głuche jęki biegła przez cały obóz do kancelarii. Za nią kilka dziewcząt i paru kolegów. Oddała list Wujowi, rzuciła się na krzesło i ukryła twarz w dłoniach.

Wujowi ręce drżały ze wzruszenia (zawsze mu drżą), nie mógł rozerwać koperty, w końcu wyciągnął papier i jednym tchem wyrecytował:

„Życie stało się nie do zniesienia — żegnam Was — Waldek" i zanim ktoś zdążył coś powiedzieć, o coś się zapytać, Wuj krzyknął:

— Piętka, bij w gong!

Było już ciemno. Ja i Stasio wieszaliśmy pośpiesznie w stołówce Waldka. Na mocnych skórzanych pasach, z których dwa miał założone pod pachy a trzeci dookoła piersi, wisiało mu się bardzo wygodnie. Wszystko świetnie było zamaskowane pod bluzą, pętla z grubej szotlinki, mówię wam, „buzi dać".

Wleźliśmy ze Stachem pod stół i czekamy. Obozowicze tymczasem podzieleni na trzy grupy poszukiwali naszego denata. Byli tak prowadzeni, aby mniej więcej jednocześnie znaleźć się w pobliżu stołówki. Słyszałem jak Wuj powiedział: „Może jest w stołówce?" i podbiegł do drzwi. Silne światło latarki padło na wiszącego Waldka. Jednocześnie Kwiatuszek nieludzko krzyknął, stwarzając tak silną atmosferę grozy, że samemu mi przeszły ciarki po grzbiecie. Rzucili się na łeb na szyję do Waldka. Zanim zdążyli dobiec — ja i Stasio byliśmy już przy nim, jedno cięcie noża i Waldek zwisał bezwładnie w naszych ramionach.

Nieść tośmy już im pozwolili, baliśmy się tylko, żeby go przy odczepianiu naprawdę nie powiesili. Ktoś z nich w trakcie niesienia wyczuł rytm serca i z przejęciem zauważył: „Jeszcze żyje".

Ktoś inny ponaglał: Prędzej nieście! Dziewczęta głośno szlochały.

Byliśmy blisko ambulatorium. Bóg wie w jaki sposób Pani Doktor czekała tam z gotową strzykawką w ręku. Położyli Waldka na stole. Wtedy już za nic w świecie nie mogłem powstrzymać śmiechu. Zbiorowa sugestia była do tego stopnia wszechwładna że do ostatniej chwili nikt nie zwrócił uwagi na normalny wygląd Waldeczka, na jego zaróżowione z emocji policzki, ani też na paski z których jeden w czasie transportu denata odpiął się i niedwuznacznie wyłaził spod bluzy.

Pani Doktor zsunęła leżącemu Waldeczkowi rękaw i szykowała się do zabiegu. Na otrzymanie zastrzyku Walduś się nie zgodził. Otworzył niebieskie oczęta, spokojnie usiadł, wstał ze stołu, w milczeniu ukłonił się osłupiałym widzom, jak aktor po zakończeniu spektaklu i nie zatrzymywany przez nikogo wyszedł z ambulatorium. Już z zewnątrz dobiegł nas jego homerycki śmiech.

Chcieli nas stłuc na kwaśne jabłko. Żart był rzeczywiście makabryczny.

Figa spojrzał na zegarek. Zbliżała się północ. W piecyku dopaliły się polana. Z kolacji pozostały tylko smętne resztki, porozrzucane w malowniczym nieładzie na talerzach i stole. Wszyscy byli zmęczeni i senni.

— Byli czasy — westchnął Wuj Wężyk.

— Jak cholera — poparł go Figa.

— Tak, tak, młodość bardziej jest odporna na mocne, nawet makabryczne kawały, niż na zupełny ich brak — wtrącił filozoficznie Puchatek.

Pokładliśmy się spać. Mnie śniły się stare, dobre, studenckie czasy. Ale Walduś wiszący w stołówce na szczęście mi się nie przyśnił.

Redaguje kolegium.
Wydawca: RSW „Prasa".
Adres Redakcji: Warszawa 18 ul Wiejska 17/1 Telefony redaca — 841-24. Centrala 832-91 do 33
Prenumerata POPROSTU Miesięcznie — zł 1.40. kwartalnie — 4,20 półrocznie — 8.40. rocznie — 16.80
Administracja: RSW „Prasa". III Delegatura Warszawa. ul Marszałkowska 8. tel 807-11
Drukarnia: RSW „Prasa". Warszawa. Marszałkowska 3/5
Zam. 1297 B-6-7245